

4 SCENA POLSKA! 4



z Bardzkich Anna Karwatowa.

STRYJ AGAPIT.

Komedia w 3 aktach. — Drugie wydanie.

Nakładem Księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.
1910.

1142024

1. NARÓD SOBIE!

Wydawnictwo teatralne z muzyką na fortepian
i podłożonemi śpiewami, z pięknymi rycinami
tytułowemi o dwubarwnym druku.

1. Halina. Bursztyny Kasi, obr. lud., 3 odst.
z tańcami. 4 m., 7 k.
2. Żdzarski. Akademik czyli Ofiara za Ojczyznę.
1 a. 9 m., 1 k. (Wyczerpane!)
3. Kucz. Ulica nad Wisłą, 1 a. 4 m., 3 k.
4. Adam i Ewa Krot. 2 a. 2 m., 1 k.
5. Papugi naszej Babuni. Op. 1 a. 3 m., 4 k.
6. Bayard. Nic bez przyczyny. Kom. 1 a. z tań-
cami. 1 m., 2 k.
7. Wieniarski. Nad Wisłą. Krot. 1 a. z tań-
cami. 3 m., 4 k.
8. Dębicki. Bartos z pod Krakowa, czyli Doży-
wocie w letargu. Obr. lud. 1 a. z tańcami.
5 m., 3 k.
9. Żółkowski. Żyd w becze. Wod. 1 a. 4 m.,
1 k.
10. Grangé i Thiboust. Było to pod Wagram.
Kom. 1 a. 3 m., 1 k.
11. Galasiewicz. Aby handel szedł. Obr. lud.
1 a. z tańcami. 6 m., 3 k.
12. Ładnowski. Lokaj za pana. Monodr. 1 a.
z tańcami. 2 m., 1 k.
Staruszkowie w zalotach. Fr. scen. 1 a. z tań-
cami. 1 m., 1 k.
13. O chlebie i wodzie. Kr. 1 a. z tańcami. 1 m.,
2 k.
14. Kamiński. Kominiarz i Młynarz. Kom.-op.
1 a. 4 m., 3 k.
15. Jasiński. Nowy Rok. Kr. 1 a. z tańcami,
8 m., 3 k.
16. Żółkowski. Bankructwo partacza. Kom.-op.
1 a. z tańcami. 4 m., 1 k.
17. Deslandes. Małe ładaco, czyli Sierotka. Kom.-
op. w 1 a. 4 m., 1 k.

Po 1 marce.



z Bardkich Anna Karwatowa.

STRYJ AGAPIT.

Komedia w 3 aktach. — Drugie wydanie.

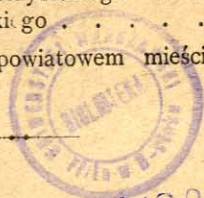
Nakładem Księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.
Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.

1910.

OSOBY:

AGAPIT GRZYBICKI	58 lat.
ZOFIA GRZYBICKA, jego bratowa	38 „
JANINA, jej córka	18 „
WANDA Stróżańskie, siostrzenice Grzy-	19 „
KAROLINA bickiego	17 „
KLEOFAS PERŁOWICZ, obywatel ziemski	60 „
TADEUSZ PERŁOWICZ, jego bratanek, młody lekarz	30 „
BRONISŁAW OKRZYŃSKI, jego siostrzeniec i obywatel	27 „
HONORATA BUDKOWA, owocarka	50 „
JACEK, kuchcik i lokaj Grzybickiego	19 „
STASIA, służąca Grzybickiego	20 „

Rzecz dzieje się w powiatowym mieście, w za-
borze pruskim.



63198

k-140/76/69549

AKT I.

Scena przedstawia pokój skromnie umeblowany. Po lewej stronie szezłag, po prawej fotel, stolik i krzesła, w głębi szafka z wazonem o sztucznych kwiatach, z szcztką do rzeczy i kalamarzem. Drzwi po prawej i głębią, okno po lewej stronie.

SCENA I.

Agapit — później Jacek.

Agapit (leży na szezłagu z fajką w ustach, niedbale, lecz oryginalnie ubrany).

Przeklęty ten pieniądz, że się kula!
(spluwa) tfu! Od wczoraj do dziś djabli wzięli
cztery marki, ani wiem na co! Dziś ani
fenyga nie wydám; szkodę trzeba poweto-
wać! Choćby przyszło głodem mrzeć, nie
wydám fenyga! Nie wydám!

Jacek (wchodzi z prawej, ubrany po kucharsku, z tale-
rząmi i rądem, czeka w milczeniu sporą chwile).

Agapit.

Czego znów chcesz, błaznie?!

Jacek.

A no czekam na rozporządzenie. Co jaśnie pan każe dziś podać na obiad?

Agapit.

Byle co! byle było!

Jacek.

To trzeba się zawlec do rzeźnika po mięso.

Agapit.

Co? do rzeźnika? Dam ja ci rzeźnika, dam! Co masz w spiżarni?

Jacek.

Perki tylko.

Agapit.

To gotuj perki!

Jacek (drapiąc się za uchem).

Ale... ojej! ale... jaśnie panie...

Agapit.

Co ci tam?

Jacek.

Ojej! jaśnie panie... czy my to proste chłopy?!

Agapit.

Widzisz go, my!

Jacek.

To jest ja... a nie jaśnie pan! a że ja jego kuchcik i lokaj...

Agapit.

Więc ty jesteś jaśnie panem! Głupia bestya. Ruszaj stąd i gotuj perki!

Jacek.

Ajej! jaśnie panie... toćby się już i te perki gotowało, ale niema ani odrobiny słoniny na okrasę, a to, ajej! i prosta baba pod płotem...

Agapit (zrywając się).

Co prosta baba 'pod płotem? he? pieniądze wydaje na okrasę? — Wiem, wiem! Głupia jest i basta! Wczoraj widziałem

kawał słoniny na półce w spiżarni; (przy-
skakując do Jacka) gdzie ona się podziała, he?!

Jacek (cofając się).

Ojej! myszy ją pożarły! została tylko
skóra wygarbowana!

Agapit (w uniesieniu).

Ja tobie skórę wygarbuje, gałganie,
skoro ty będziesz tak pilnował okrasy!
Pomyśl, błaznie, ileś zmarnował!

Jacek.

Ajej! ten kęsek, ta odrobina, to mało
było warte.

Agapit.

Jeżeliś taki mądry, to bierz teraz tę
wygarbowaną skórę, połóż ją na patelni
i smaż... i smaż dopóty, dopóki tłuszczu
nie puści!

Jacek.

Przecież sucha, jak podeszew!

Agapit.

Ruszaj stąd, bo ci jeszcze i twoje po-
deszwy ususzę!

Wypycha go za drzwi środkowe)

SCENA II.

Agapit (siada na fotelu i splota).

Tfu! Tfu! Ciągłe tylko workiem trzą-
saj na zawołanie. Muszę nauczyć oszczęd-
ności tego błazna. Perek suchych mu się
już jeść nie chce, okrasy nie pilnuje, gotów
się sam zabrać do pieniędzy i kupić co
lepszego. Ho, ho, pieniążków nie znajdziesz!
nie, nie! Mądry człowiek tak potrafi je
schować, że najbardziej przebiegły złodziej
ich nie znajdzie. (po chwili) Ale gdzież to
one są od wczoraj? gdzież to one są?
Tam do licha! A wiem, wiem! w szafce.
Dziś je trzeba schować w innym miejscu,
(wyjmuje pieniądze w rulonach z szafy) ale gdzie? Już
wiem, wiem! Cztery rulony włożę w fotel,
(kładzie rulony w fotel) tak, tak, dobrze. Dwa
rulony wsunę we wazon! Wazon suchy,
kwiaty sztuczne, a Jacek nie chciwy na
takie rzeczy. (Wkłada pieniądze we wazon i nakrywa
je kwiatami) Wybornie przechowane! Teraz
pójdę przeliczyć złoto i pozawijam je w ru-
lony. W sypialnym pokoju spuszczę za-
słony u okien, zapalę lampę i uraczę się
blaskiem złota! Starczy mi to za towa-
rzystwo żony i dzieci, za obiad, podwie-

czorek i za kolacyę... To owoc tyloletniej pracy; każdy fenyg zroszony kropłą krwawego potu! I ja miałbym ten grosz marnować na okrasę?! Na tę podłą okrasę, co byle wieprz ją daje?! Idyota ten Jacek! (pokazując na czoło) idyota! Mój złoty, kochany, ciężko zapracowany grosz na okrasę! co byle wieprz ją daje! (Odchodzi w prawo)

SCENA III.

Jacek — później *Agapit*.

Jacek (wchodzi ostrożnie środkiem).

A gdzie jaśnie pan? Ojej zły, a ja z głodu dziw się nie skręczę! Żeby mi choć dziesięć fenygów dał na bułki! (składa ręce) Św. Jacku, rozdawałeś zawsze ubogim pierogi, dajże mi choć jeden pieróg! (po chwili) Ale gdzie jaśnie pan siedzi? Może tu? (patrzy na prawo przez dziurkę od klucza) A jest, jest, siedzi i liczy złoto! co to tego, co to tego! ojej! Co on zrobił? Połknął rulon złota, dalibóg połknął, ojej, ojej! Św. Jacku, on połknął — i jeszcze połyka! Nie, nie, to nie może być złoto, to chyba kawał kielbasy!

Ojej on kielbasę połyka, a ja z głodu zemrę... ajej ściskanie! ściskanie! (chwytając się za żołądek i biega około sceny) ból! ból! w flakach chodzi jak z procesyą! ojej! ściskanie, ból, procesya! Nie wytrzymam!

Agapit (wychyla głowę przez drzwi bardzo ostrożnie).

Czego ty biegasz, jak obłąkaniec? Myślałem już, że rozbójnicy tu wpadli!

Jacek (krzywi się, pokazując na żołądek).

Tam rozbójniki, tam! z procesyą chodzą! Z głodu nie wytrzymam, niech jaśnie pan mnie zwolni ze służby! Ajej! nie wytrzymam, (biega) ból, ściskanie, procesya!

Agapit.

Uspokój się nareszcie!

Jacek.

Nie, nie wytrzymam, ajej nie wytrzymam! Pójdę sobie, pójdę, bo umrę na miejscu!

Agapit.

Twoja matka powierzyła mi ciebie na dwa lata, więc służyć będziesz dalej w po-

korze. Przystosób sobie kawy, jeżeliś głodny.

Jacek.

Kawy niema, jest tylko odrobina cykoryi, (pokazując na palcu) taki kawałek.

Agapit.

Wystarczy zupełnie! Weź tylko wody, a zagotuj ją dobrze i zafarbuj cykoryą, to będziesz miał wyborną kawę! I mnie też poczęstujesz; napijemy się obydwaj, bo kawa będzie wyborna!

Jacek.

Będzie ona tam wyborna, ajej! Żeby choć kawałek chleba do tej kawy! ajej! ból, ściskanie, procesya! nie wytrzymam! Choćby trojaczka na bułki, na chlebek, na pieróg św. Jacka!

Agapit (rzucając Jackowi 10 fenygów).

Idź na skręcenie karku! Przeklęty chłopak, wyłudził trojaka! A to szelma, a to gałgan! — Żeby mi to dziś starczyło na cały dzień, słyszysz?! Teraz nie przeszkadzaj mi; choćby i sam burmistrz przyszedł,

nie wpuszczaj do mnie nikogo! (odchodzi w prawo)

SCENA IV.

Jacek (ogląda pieniądz z przyjemnością).

Jest trojak! jest! będzie pieróg! będą bułki! Ale ani jednej nie dam staremu! nie dam! On mnie też oszukiwał i jadł pokryjomu złoto, czy tam kiełbasę! Niech wie, co to głód, co to ból, ściskanie, co to procesya po flakach! ajej! niech on to wie! Święty Jacku, kupy złota rachuje, a sam umrze przy tem złocie z głodu i ja z nim zemrzeć będę musiał! (Po chwili) Ale nic z tego! Trzeba sobie radzić inaczej, tak być nie może! Pójdę do Janinki, to może panienska stryjowi co przyniesie... a pewnie i mnie się jaki pieróg dostanie. O, Janinka to dobra, bardzo dobra dla mnie! (Wychodzi głębia)

SCENA V.

Kleofas — Agapit.

Kleofas (wchodzi głębia).

Więc to tu teraz Agapit mieszka! Co-taz to gorsze bierze sobie pomieszkanie,

tak, jakby mu najdotkliwsza bieda dokuczała. Zamożność swoją tai przed ludźmi, żeby wielkich podatków nie płacić i nie wspierać biedniejszych krewnych. Oryginał zostanie oryginałem; ale niechżeż nim sobie będzie i do śmierci, byleby co wykołatać dla jego siostrzenic, a tem samem dopomóżdź Tadeuszowi i Bronkowi. Dziś miłość bez posagów źle plonuje, to tak, jak ożmina bez saletry chilijskiej! (siada na fotel i ziewa) Jakoś pana domu nie widać. (wstaje i puka do drzwi na prawo)

Agapit (za drzwiami).

Nie wolno! Kto tam?

Kleofas.

To ja, przyjaciel! Wpuść mnie! (dobija się)

Agapit.

Nie wolno! do stu piorunów, nie wolno! Zaraz przyjdę, bądź cierpliwy, siadaj na szezłagu, bo fotel ma nogę złamaną!

Kleofas.

Dobrze, poczekam i usiedę. Ale co on tam robić może? Pst! słyhać brzęk złota!

Pieniądze liczy! (ogląda nogi u fotelu) Nogi przecież całe, (siada na fotelu) wszakże o wiele wygodniejszy fotel od szezłaga.

Agapit (z prawej, widząc Kleofasa siedzącego na fotelu, cofa się przerażony).

Mówiłem ci przecież, że fotel ma złamaną nogę! Proszę, siadaj na szezłagu.

Kleofas.

Dłoni mi nawet nie podasz?

Agapit (podając dłoni).

Owszem, witam cię; boję się tylko o tę złamaną nogę u fotelu... mógłby się zdarzyć wypadek!

Kleofas.

Próżna obawa, nogi calusieńkie, oglądałem je dokładnie.

Agapit.

Co? nawet oglądałeś?

Kleofas.

Nawet przechyliłem fotel; nie lękaj się, to omyłka, fotel cały zupełnie.

Agapit (z bardzo przerażoną miną).

Nawet przechyliłeś? Uf! jak mi gorąco!

Kleofas.

Uważam, że jesteś nieswój! Powinieneś częściej chodzić na przechadzki, żeby się rozerwać, użyć ruchu i powietrza; widzę, że miewasz uderzenia krwi.

Agapit.

Nie mam z kim się przechadzać.

Kleofas.

Owszem masz; poznałem twoje siostrzenice i jestem niemi zachwycony!

Agapit.

Wierzę, miłe dziewczęta.

Kleofas.

Mają też wielu skrytych wielbicieli.

Agapit.

I o tem wiem.

Kleofas.

Powinny zrobić partye, odpowiednie do-
bremu wychowaniu, jakie odebrały.

Agapit.

Liczę na to na pewno!

Kleofas.

Ale to panienki bez posagów, a dziś każdy młodzieniec, noszący się z zamiarami matrymonialnemi, potrzebuje trochę grosza, chociaż tylko na urządzenie domu.

Agapit.

Każdy potrzebuje, i ty potrzebujesz i ja potrzebuję! Ktoby to nie potrzebował? A kto niema i nic nie dostanie, ten się i obejdzie.

Kleofas.

Sądę, że ty, Agapicie, już chyba zgola pomocy nie potrzebujesz.

Agapit.

Nie mam grosza do stracenia. Na każdy zarobiony fenyg ściekła kropla krwa-

wego potu z mojego czoła, z ciężkiej i morderczej pracy.

Kleofas (śmiejąc się).

Ha, ha, ha, żartujesz! Kiedyś ty tak ciężko pracowałeś i gdzie?

Agapit.

Kiedy? Całe swoje życie! Gdzie? Tu tu, w tem mieście, potem pewien czas na Woli i znów w tem mieście. Co ja sobie głowy nałamałem, o Boże! (po chwili) Tobie poszło łatwiej, miałeś majątek ziemski bez długu, kilka urodzajnych lat, no, i masz teraz renomę bogacza.

Kleofas.

A ty jej nie masz?

Agapit.

Co, ja? ja? Bój się Boga!

Kleofas.

A ja? ja? Krwawo pracuję, jak każdy rólNIK, nie mam nic, zgoła nic! Włódarkiem jestem swoich parobków!

Agapit.

Nie wierzę.

Kleofas.

Chociażbym chciał dopomóc Tadeuszowi i Bronisławowi do ożenku, to nie mogę tego uczynić! bieda u mnie, aż strach.

Agapit.

I u mnie bieda okropna. Nic dla krewnych zrobić nie mogę.

Kleofas.

Nie do uwierzenia!

Agapit.

Przekonam cię zaraz, jaka u mnie bieda (wola) Jacek! Jacek!

SCENA VI.

Agapit — Kleofas — Jacek.

Agapit.

Gadaj, co dziś będzie u nas na obiad.

Jacek (namyśla się długo, patrząc raz na Kleofasa, to znów na Agapita).

No, no, ajej! no...

Stryj Agapit.

Agapit.

Mów, błaznie!

Jacek.

Zupa z pomidorów, sztuka mięsa z chrzanem, zajac i krem waniliowy.

Kleofas.

Winszuję! złota bieda!

Agapit (bierze w milczeniu kij z kąta i okłada nim Jacka).

Gałganie! psujesz mi dobrą sławę! to fałsz! to kłamstwo! Mów prawdę, kanalio!

Jacek (biega wkoło sceny, Agapit go bije).

Ajej! ajej! św. Jacku, broń mnie! ajej! ajej! Już prawdę powiem, powiem! ale niech jaśnie pan puści! niech jaśnie pan puści!

Agapit.

Gadaj teraz! Co gotujesz na obiad?

Jacek (z długim westchnieniem).

Perki... z okrasą... co ją myszy... wygarbowały!

Kleofas.

Życzę dobrego apetytu!

Agapit.

Apetyt u nas zawsze wyborny! Dla nas potrawa ta wystarczy... a gości nie zapraszamy!

Kleofas.

To znaczy, że się mam wynosić! ha! ha! ha! Ale ja nie przyszedłem na te perki z wygarbowaną skórą, raczej chciałem cię tylko odwiedzić, drogi Agapicze, (czule) i poprosić na polowanie do Góry.

Agapit (również z czułością).

Bardzo ci jestem wdzięczny za pamięć o mnie, ale nie wyjeżdżam z zasady. Nie mam za co wyjeżdżać! bieda u mnie, bieda, myszy nie mają czego żreć!

Kleofas (coraz czulej).

Przyślę po ciebie powóz.

Agapit.

Dziękuję; bardzo dziękuję, najlepiej mi jednak w domu.

Kleofas (podając dłoń).

Więc żegnam!

Agapit (biorąc dłoń).

Żegnam!

SCENA VII.

Agapit — Jacek.

Agapit (przyskakując ze zaciśniętymi pięściami do Jacka).

Przekłeta poczwara! psuje mi dobrą sławę! Na podatki mnie wsadzą! okradną! zabiją! Posag wyłudzą dla siostrzenic! Gałganie, nie wart jesteś, żebyś się w piekle smażył razem z tą zupą pomidorową, sztuką mięsa z chrzanem, z zającem i waniliowym kremem! O, kanalia! jak to wymyślać umie, jak z książki! a czytać pewnie nie potrafi!

Jacek (płaczliwie).

Ojej! niech już jaśnie pan nie krzyczy, bo nie wytrzymam! Ojej ból, ściskanie, procesyja po flakach, pięści i kij! ojej! nie wytrzymam.

Agapit.

Dlaczego kłamałeś!

Jacek.

Bo się wstydzilem mówić prawdę! Toć to bydlę lepiej żyje od nas!

Agapit.

Od nas? znów od nas?

Jacek

Chciałem powiedzieć, z przeproszeniem jaśnie pana, że bydlę lepsze od jaśnie...

Agapit.

Co? co?

Jacek.

Ojej! nie, bydlę lepiej żyje od jaśnie pana.

Agapit.

Mądrześ powiedział, nie jestem mu równy, więc mogę jeść gorzej. Wolę pieniądz, niż tę strawę marną, która tylko częściowo w krew nam przechodzi.

Jacek.

Ale ja zemrę z głodu, wolałbym jeść,
niż pieniądze chować, bo ich też nie do-
stanę i nigdy nie widzę! (płacze)

SCENA VIII.

Agapit — Jacek — Janina — Stasia.

(Janina z Stasią wchodzi głębią, Janina w kapeluszu, Stasia
z koszykiem w ręku)

Janina.

Witam cię, stryжку! (Całuje Agapita w ramię)
A co to Jackowi? Płacze biedak!

Agapit.

Skarałem go za kłamstwo.

Jacek (całując rękę Janiny).

Niech panienka nas poratuje! Głód,
ściskanie, procesyja!

Janina.

Pomyślałam o tobie, dobry chłopcze,
zwróć się tylko do Stasi. (Do Agapita) Jakże
się stryjek dziś miewa? (Jacek rozmawia w głębi
z Stasią, ta wyjmuje chleb z koszyka, dając go pokryjomu
Jackowi, który objawia ztąd zadowolenie)

Agapit.

Wątroba mnie dziś boli haniebnie!

Janina.

Miałeś pewnie zmartwienie, stryжку?

Agapit.

A tak, miałem, ludzie mi dokuczają.

Janina.

Mizernie wyglądasz, może się czem po-
silisz?

Agapit.

Niema się czem posilać, bieda!

Janina.

Nie trzeba sobie żałować, stryжку, pierw-
sze zdrowie, wszakże masz na to! Tyle
lat pracowałeś... tak skrzętnie...

Agapit.

A pracowałem, masz słuszość, i to dzień
i noc! Ale mówię ci, dziecko, że u mnie
bieda! Jacek, powiedz panience, jaka u nas
bieda. (Siada na fotelu)

Jacek.

Ojej, taka bieda, że aż stęchło czuć!

Janina (siadając na krześle przy stoliku).

To źle, trzeba koniecznie stryjka posilić. Stasia, podaj koszyk i zostaw nas. Jacek, przynieś talerz, nóż i widelec. (Stasia wychodzi głębia)

Agapit.

Tak, Jacek, przynieś nakrycie i idź sobie do Stasi, do kuchni. (Jacek odchodzi głębia) Co porabia mama? Oj, ta mama! nie dba o mnie starego!

Janina.

Jakto nie dba, stryjku? Codziennie pa-
miętamy i mówimy o stryjku.

Agapit.

Nie rozumiesz mnie, młoda bardzo jeszcze
jesteś, nie wiesz, co to uczucie...

Janina.

Oj, wiem, wiem, stryjku! (Jacek wnosi nakry-
cie i wychodzi)

SCENA IX.

Agapit — Janina.

Agapit.

Co ty tam wiedzieć możesz!

Janina.

Ależ, stryjku, przecież i ja mam serce,
które kochać pragnie!

Agapit.

Ciekawy jestem kogo, albo co ty ko-
chać możesz? Masz kotka faworyta, he?

Janina.

Ależ, stryjku, jestem panną dorosłą, nie
dzieckiem! Wiesz może... domyślasz się...
że pan Tadeusz...

Agapit.

Co, pan Tadeusz? Goły jak turecki
święty!

Janina.

Do bogactw pretensyi mieć nie mogę,
bo posagu nie posiadam. (Rozwija papier, kładzie
plastry pieczeni na talerz i wyjmuje bułkę) Zagawędzi-

liśmy się, a stryjek głodny. Otóż proszę, jest pieczeń na zimno i bułeczka mojej roboty. Tu są i ciasteczka i jabłka. Można z tego pewnie i coś dać Jackowi?

Agapit (zajadając).

Jabłka dla Jacka! mięso i bułka dla mnie! Albo... wiesz co? Jabłek szkoda, — lubię bardzo, jak są pieczone. Dla Jacka może się jutro co znajdzie, dziś już dostał pieniądze na życie. — O, jakie wszystko znakomite i wyborne! Dobra będzie z ciebie gospoś, Janinko! Ale, powiedz mi, z kądem wy to wszystko macie, bo przecież wiem, że ojciec twój nieboszczyk, a mój brat, Franciszek, zostawił was w przykrem położeniu?..

Janina.

Pracujemy obydwie z mamą. Udzielamy lekcyi muzyki, malarstwa, języków, — i mamy uczniów na stancyi.

Agapit.

Już to niedorzeczność matka twoja popęlniła niepowetowaną, że wyszła za Franciszka, a nie za mnie! Byłoby inaczej! och,

inaczej! I teraz mogłoby być lepiej, ale kobiety są uparte!

Janina.

Mama tak bardzo kochała nieboszczyka ojca, że dziś cienie jego są jej zawsze jeszcze drogie!

Agapit.

To poezya, co chleba nie daje!

Janina.

Mówiłeś przed chwilą, stryjku, o uczuciach, sądziłam...

Agapit.

Co sądziłaś?

Janina.

Sądziłam, że stryjek ma wyrozumienie dla kochających. (wzdycha) Och!

Agapit.

Dlaczego wzdychasz?

Janina.

Cóż pocznę ze sobą?

Agapit.

Jakto... co ze sobą poczniesz?

Janina.

Wstydzę się, ale szczerze przywiązałam się do pana Tadeusza...

Agapit.

Mówiłem ci, dziecko, że goły jest, jak turecki święty!

Janina.

Będziemy oboje pracowali..

Agapit.

Na nicby się zdała wasza praca! Tadeusz ma znaczne długi akademickie.

Janina (całując Agapita w ramię).

Gdybyś tak, kochany stryjku, chciał dopomódz...

Agapit (zrywając się).

Jakto, dopomódz? Może długi płacić Tadeusza? Ja? ja? Moim krwawo zapracowanym groszem długi kawalerskie płacić? Uczciwym groszem takim długi płacić?

(Biega po scenie i rwie sobie włosy) Lekkomyślnie zrobione długi płacić temi pieniędzmi, z których każdy grosz zroszony kroplą krwawego potu... i to mojego własnego potu... z których każdy grosz jest częstką serca mego i duszy mojej! Czyście powaryowali?!

Janina (zbliżając się do Agapita).

Proszę, niech się stryj uspokoi! Już nie mam zgoła życzeń, lękam się tylko o zdrowie stryjka.

Agapit.

Słuchaj, Janinko, tyś dobra i rozsądna, znajdziesz bogatszego wielbiciela, zapomnij o Tadeuszu!

Janina.

Nie mogę, stryjku!

Agapit.

No, to namów mamę, żeby się namyśliła wyjść za mnie, to może i twoja sprawa lepiej się ułoży.

Janina.

I tego uczynić nie mogę!

Agapit.

Jakto nie możesz?

Janina.

Nie chcę cię łudzić, stryжку, ale nie mówmy już o tem, mam jeszcze tylko małą prośbę do ciebie.

Agapit (przerażony).

Znów prośbę?

Janina.

Nie lękaj się, stryжку, bardzo niewinną mam prośbę. Otóż mama kazała cię prosić na czwartek do siebie, będziemy mieli gości.

Agapit.

Ale to waszą kieszeń wypróżni, takie przyjmowanie gości!

Janina.

Przyjęcie będzie skromne. Zejdą się tylko nasi najlepsi przyjaciele. Wszakże i serce pragnie coś mieć dla siebie? I ty nas odwiedzisz, stryжку, nieprawda?

Agapit.

A już przyjdę, chociażby tylko dla samych pięknych oczu twojej matki!

Janina.

A otóż! stryjek też nie jest bez poezyi, a zemnie się wysmiewa! Widzę, że i kwiaty są teraz we wazonie! (zbliża się do szafki z wazonem) A, to sztuczne, ale ładne. (bierze wazon do ręki)

Agapit.

Poczekaj, poczekaj, sam ci pokażę, wazon pęknięty! Oj, oj! ostrożnie, bo pęknięty.

Janina.

Jaki też ciężki!

Agapit.

Bo Jacek nasypał w niego piasku.

Janina.

Gdzie stryjek każe jabłka te schować?

Agapit.

Tu, tu, do szafki, na klucz zamknąć trzeba, bo ten bestya Jacek zjadłby mi wszystkie.

Janina.

Och, on nie taki łakomy.

Agapit.

Mówię ci, że bardzo łakomy, ciągleby tylko jadł!

(Jacek wchodzi głębią i słucha)

Janina.

Ale chociaż jedno jabłko daj, stryjku, Jackowi, to dobry chłopiec. Żegnaj cię teraz, stryjku, (całuje Agapita w ramię) a w czwartek zabierz Jacka ze sobą, bo wieczory ciemne, mógłbyś mieć wypadek na ulicy.

Agapit.

A jużci będzie trzeba błazna tego zabrać ze sobą.

(Janina wychodzi głębią, Jacek we drzwiach całuje ją w rękę)

SCENA X.

Agapit — Jacek.

Jacek.

Już to prawdziwy aniołek ta nasza Janinka.

Agapit.

Co za nasza Janinka?

Jacek.

A no panna Janina Grzybicka.

Agapit.

Cóż to, błaznie, czyś się z nią bawił w piasku? Zkąd ci to mówić nasza Janinka? Może się z tobą rodziła pod jedną strzechą, hę?

Jacek.

Ojej, ona taka dobra, ja inaczej o niej mówić nie mogę. Ajej, jak ja ją Kocham! (przyciska ręce do piersi) Ojej! dla niej choć z głodu bym zdychał!

Agapit.

Niby tak kochasz pannę Janinę, a nawet jej nie uszanowałeś. Dlaczego nie nakryłeś stołu? Wstydu mi narobiłeś!

Jacek.

Już ja byłbym go nakrył, żeby jeno było czem! Chociaż zawsze podaję na

Stryj Agapit.

ceracie, ale wszystko brudne, aż czuć stęchło i kwaśno; trzeba iść do praczki.

Agapit.

Dam ja ci praczkę! Nie wydam grosza, słyszysz! Mój grosz, mój krwawo zapracowany grosz, na taką marną praczkę? Jeszcze czego! Niedoczekanie twoje!

Jacek (zakłopotany).

No... no... no, to co zrobimy?

Agapit.

Co za my?

Jacek.

No.. ten tego... no jaśnie pan i ja!

Agapit.

Nauczę cię respektu! Ani mi się waż tak mówić po raz drugi!

Jacek.

Ale no... no... co zrobimy? ajej! nie, nie! Co jaśnie pan zrobi? Stęchlizną czuć z daleka...

Agapit (bierze Jacka za ucho).
Kogo, hultaju?

Jacek.

Omyliłem się, ajej! tak gadać nie chciałem, nie, nie! Ale wszystko czarne jak smoła: ręczniki, powleczenia, obrusy i chustki, skarpetki i... i... i...

Agapit.

Cicho! bo za dużo powiesz! Z wszystkiego się wydajesz, błźnie! Powleczenie jeszcze dobre, starczy mi na cały ten rok!

Jacek (skrobiąc się za uchem).

Ajej, czarny robak skakać będzie!

Agapit.

W twojej mózgownicy będzie skakał! Innej bielizny każda sztuka starczy mi na kwartał, słyszysz?

Jacek.

Ojej, to biały robak łaźić będzie!

Agapit.

Byle tobie na nosie zielony nie wyrósł!

Jacek.

To i tam robaki rosną? ajej!

Agapit.

Obrus, to rzecz zbytkowna, więc zupełnie niepotrzebna, ręcznik także starczy na kwartał, a skarpety i chustki, jeżeli potrzebne, to je dziś wypierzesz.

Jacek.

Mnie matuś nie nauczyli prania. My przecież prac nie będziemy; to nie będzie dobrze.

Agapit.

Pokażę ci, hultaju, i z tobą popiorę wszystko, a w dodatku i ciebie samego wypiorę! Poczekaj, jeżeli słuchać nie będziesz! Ruszaj mi zaraz po wanienkę i po bieliznę.

Jacek.

Adyć jaśnie pan prac nie będzie! ajej! jak to będzie wyglądało!

Agapit.

Ruszaj mi zaraz i przynieś, co potrzeba!
(Jacek wychodzi głębia.) Co to za niepowstrzy-

mana niczem chęć wyrzucania pieniędzy u tego chłopaka! jakby był milionerem... i wstydzi się prac, tak, jakby w pałacu się rodził! Ja przyszedłem na świat w zamożnym szlacheckim domu, a niczego się nie wstydzę, najcięższej pracy! — Pocóż to ten piękny grosz wydawać? Niezrozumiała to dla mnie chęć ta rozrzutność. (Jacek wnosi wanienkę, kubelek z wodą, parę skarpet, kilka chustek i trochę mydła) Masz już wszystko? Stawiaj tu, na krzesło, na sam środek, kładź brudy we wanienkę, lej wodę, bierz mydło, nacieraj i pierz! ja ci pomogę! (Piorą całą chwilę w milczeniu, nagle Agapit chwytą się za krzyż i jęczy) Ojej, krzyż! mój krzyż! kolki! kolki! (siada na fotelu) Jacek, ratuj, nacieraj! nacieraj prędko! mój krzyż! krzyż! kolki! kolki! (stęka) ę... ę... ę... ę...

Jacek (bierze szczotkę od rzeczy z szafki i naciera nią krzyż Agapita).

Widzi jaśnie pan, a widzi! gadałem, że jak my prac będziemy, to dobrze nie będzie! Ojej, nie będzie, to pańskie gnaty nie do tego!

Agapit.

Milcz! nacieraj! kolki! kolki! ę... ę... ę...

Jacek (naciera z całej siły).
A widzi jaśnie pan...

Agapit.

Przestań, zamęczysz mnie błaźnie! (Kładzie się na szezłagu) Już przechodzi... przechodzi... bolało szkaradnie... Pierz sam, Jacek pierz!

Jacek.

A jak i mnie kolki wezmą? ajej!

Agapit.

To cię poratuję! oj! oj! boli znów! — boli! ę... ę... ę... Pierz pilnie, chłopcze, pierz!

Jacek.

A piore już, ale plamy wcale puścić nie chcą, trzeba trzeć mocno. (Trze tak, że cała wianienka się rusza)

Agapit.

Podrzesz bieliznę, uważaj! ale pierz pilnie, pierz!

Jacek.

Ojej, ojej, ściskanie! ból! procesyja! ojej ojej! kolki, kolki! ę... ę... ę...

Agapit (przyskakuje i naciera Jackowi krz ż, wreszcie sam chwyta się za krzyż i pada na fotel).

Mój krzyż! krzyż! (stęka) ę... ę... ę...

Jacek.

Kolki! kolki! (pada na szezłag i stęka) ę... ę... ę...

Agapit (zrywa się).

Nie ośmielaj się! (Zrzuca Jacka ze szezłaga)

Jacek.

Kolki! kolki! nie wytrzymam... ę... ę... ę... (pada na fotel)

Agapit.

Wstawaj z fotelu, nogę ma złamaną! Zapomniałeś? Przynies teraz linkę i bieliznę trzeba powiesić.

Jacek.

Jeszcze nie zepране.

Agapit.

Dobra, dawaj linkę. (Jacek wychodzi głębią)
Jak to dziś wszyscy siadają na ten fotel!
Dobry węż mają bestye, a Janinka też
drobnym swoim noskiem wywąchała kwiaty
we wazonie, choć sztuczne! (Jacek wchodzi, roz-
prowadza linkę przy oknie i wieszka bieliznę) Tak, tak,
tak dobrze, wieszaj, ja ci pomogę. (Wieszają
bieliznę, na to wchodzi Tadeusz z Bronisławem głębią, ubrani
elegancko, przyglądają się i cofają, po chwili wchodzi znów)

SCENA XI.

Agapit — Jacek — Tadeusz — Bronisław.

Bronisław.

Czy to tu mieszka pan Agapit Grzy-
bicki?

Tadeusz.

Ależ niepodobna! mylimy się niezawodnie.

Jacek.

Tak, tak, tu jaśnie pan mieszka i pierze
ze mną bieliznę, bo u nas bieda!

Agapit.

Kto ci kazał to wysławiać, ty słowiku?

Jacek.

Ojej, ja nie słowik! chyba gawron. Dyc
jaśnie pan kazał o biedzie gadać! Ale kie-
dy nie mam gadać, to będę milczał, jak
kamyk. (Odchodzi w prawo)

SCENA XII.

Agapit — Tadeusz — Bronisław.

Bronisław.

A rzeczywiście, poznaję teraz... to pan
Grzybicki. Przepraszamy pana, ale chcie-
liśmy złożyć mu uszanowanie. (Bronisław i Ta-
deusz kłaniają się)

Agapit.

Och, to zupełnie niepotrzebne, nie mam
panów czem przyjmować. Otóż widzicie,
że prac nawet samemu trzeba.

Tadeusz.

Laskawy panie, o przyjęcie nam nie
chodzi, lecz chcieliśmy wyrazić mu nasz
szacunek.

Agapit.

Rozumiem, rozumiem... ale z tym szcunkiem łączycie panowie niezawodnie i interes... he?

Tadeusz.

Interes niewinny, chcieliśmy łaskawemu panu wyjawić swoje zamiary.

Agapit.

Co za zamiary mieć możecie? Jeden, jako obywatel ziemski, krzywdzi ziemię, źle gospodarując na rodzinnym majątku, a zbożaca kupców zbożowych, robiąc dziury we własnej kieszeni; drugi jako lekarz, truje ludzi, psuje sobie dobre imię i sumienie, a przymnaża grosze kopaczom i stolarzom.

Bronisław (z urazą).

Ależ, mój panie.

Tadeusz (z oburzeniem).

To ciężki zarzut.

Agapit.

No, no, powoli. Siadajcie, panowie, a darujcie staremu gderze. (Tadeusz siada na

krześle, a Bronisław na fotelu) O, o, przepraszam, na fotelu nie można, noga złamana; proszę tu, na szeszląg.

Bronisław (siadając na szeszlągu).

Spieszę na rozkazy pańskie.

Agapit (siada na krześle).

Więc jaki to ten interes niewinny?

Tadeusz (z ukłonem).

Jako stryjowi panny Janiny Grzybickiej, chciałem złożyć łaskawemu panu wizytę.

Bronisław (z ukłonem).

A tak, wujowi panny Wandy Stróżańskiej należy się nasze uszanowanie.

Agapit.

Ale bez tych dodatków, bez przysiadów, moi panowie. (Do Tadeusza) Więc pan chce się żenić z Janinką, a pan (do Bronisława) z Wandą? A więc winszuję, winszuję i błogosławię.

Tadeusz.

Bardzo wdzięczni jesteśmy za łaskawość jego.

Bronisław.

Dziękujemy za życzliwość, ale jako do wuja i stryja naszych narzeczonych winniśmy być otwartymi.

Agapit.

Nie żądam tego, o nie, bynajmniej.

Bronisław.

Ale my pragniemy być otwartymi, bo prosta droga podobno najlepsza.

Agapit (śmiejąc się).

Ha! ha! ha! teraz chcecie pójść drogą prostą, bo was znudziły pewnie już manowce? Znam to, znam. Życie kawalerskie... to hulaszczcze bywa, ho! ho! kręte drogi... manowce! znam to, znam!

Tadeusz.

Każdy błądzi w młodości swojej. Obecnie mamy zamiary najlepsze i myślimy wieść skromny żywot obok zacnej żony.

Bronisław.

Chęci nasze są dobre, ale żeby ostatecznie móżdżek żyć spokojnie, potrzeba cokol-

wiek uporządkować swoje sprawy majątkowe.

Agapit.

A zapewne, jeżeli się ma tak szczerze chęci... Każdy, kto się chce żenić, winien mieć dach i chleb dla siebie i dla żony; — i ptak sobie gniazdo ściele!

Bronisław.

O tem się myśli, ale są wydatki naglące i konieczne... więc gdyby kto życzliwy z rodziny naszych wybranych nam dopomóżdż raczył, ślicznieby się wszystko ułożyło.

Agapit.

O...i u mnie pysznieby się wszystko ułożyło, gdyby było więcej grosza! Nie jadłbym dziś perek na obiad, nawet bez okras, nie prałbym sam bielizny... ale to tak... ja umiem grosz cenić... ten grosz krwawo zapracowany... a panicze to co? Ze zasady go marnujecie! ho, ho, ho... o...o...o! Znam ja was, znam!

Tadeusz (z urazą).

Obrażasz nas znów, mój panie! Rozpustnikiem nie jestem, dług zrobiłem na studia!

Agapit.

Ale coś pan studyował? ho, ho!

Tadeusz.

Rzeczy poważne, konieczne do mego zawodu.

Agapit (do Bronisława).

A pan na coś długów narobił? he?

Bronisław.

A ja na sztuczne nawozy! Dziś postępowy gospodarz bez sztucznych nawozów nie pracuje w roli.

Agapit (do Bronisława).

Trochę przehulało się w karty, co? Mów pan prawdę!

Bronisław.

Młodość ma swoje słabe chwile, ale jeżeli tylko jest chęć szczerą, to roz-

grzeszenie zwykle się dostaje od spowiednika.

Agapit.

Ho, ho, aż na konfesyonał wjechał! Nic to nie pomoże! Mówię panom, że u mnie bieda, bieda i basta! (woła) Jacek! Jacek! (chwytą się za krzyż)

SCENA XIII.

Agapit — Tadeusz — Bronisław —
Jacek.

Tadeusz.

Zdaje się, że panu coś dolega?

Agapit.

Drażnicie mnie! (chwytą się za krzyż) Ojej krzyż, znów krzyż! kolki! kolki! Jacek, nacieraj, nacieraj! ę... ę... ę...

(Jacek naciera krzyż Agapita)

Bronisław.

Może ja pomogę?

Agapit.

Dziękuję, gotów mnie pan uśmiercić!

Bronisław.

Widocznie zalicza mnie pan do zbrodniarzy.

Tadeusz.

Zapiszę łaskawemu panu receptę na ból krzyża.

Agapit.

Otrułbyś mnie pan na pewno! Dziękuję za wszelką waszą pomoc!

Tadeusz.

Pan łaskawy daruje... ale czy to żart? Bo to zbyt wielka obraza, żądająca zadosyćuczynienia!

Agapit.

Ho, ho, zadosyćuczynienia? Pojedynki nie modne. Mówiliście panowie, że prosta droga najlepsza, a no... ja nią poszedłem... i powiedziałem wam, co myślałem. Darujcie staremu! Słuchać pukanie) A któż tam znowu? (Jacek zagląda i wprowadza Karolinę i Wandę głębią)

SCENA XIV.

*Agapit — Tadeusz — Bronisław — Jacek —
Wanda — Karolina.*

Wanda.

Przyszliśmy odwiedzić wujcia. (Całuje Agapita w ramię) A! wujcio ma gości! (Podaje dłoń Tadeuszowi i Bronisławowi; rozmawiają w głębi)

Karolina (witając się z Agapitem).

Ależ, wujciu, tu goście, a wanienska na środku i to z brudną wodą! Tam znów bielizna rozwieszona... i to w pokoju! Jacek, bój się Boga!

Agapit.

Co się tak rzadzisz, panienko, w moim domu?

Karolina.

Przepraszam cię, wujciu, ale się wstydzę za ciebie!

Agapit.

Wstydź się dalej, panienko, ja się biedy swojej nie wstydzę!

Stryj Agapit.

Karolina (chce zdejmować bieliznę).
Wujcio pozwoli zebrać tę bieliznę?

Agapit.

Niech wisi spokojnie. Rozkazywać to umiesz, a dbasz też o wujca?

Karolina.

Nie rozumiem wujcia...

Jacek.

Jaśnie pan pyta się, czy panienka przyniosła dla nas pieróg.

Agapit.

Dam ja ci, błaznie, „dla nas“! Bierz wannę i ruszaj ztąd; bielizna niech zostanie, bo nie uschnie do jutra.

Karolina.

Przyniosłam dla wujcia owocu, ale Jacek na nic nie zasłużył, bo w kuchni powinien był prać bieliznę!

(Jacek patrzy długo i przeciągle na Karolinę, rusza ramionami i wychodzi, wynosząc wanienkę i kubek z wodą)

SCENA XV.

*Agapit — Tadeusz — Bronisław —
Wanda — Karolina.*

Wanda.

Panowie może usiądą?

Agapit.

Jak to kobieta, to już zaraz lubi rządzić. Szare gąski... ha, ha, ha! szare gąski! (Agapit siada na fotelu, reszta towarzystwa na szezlagu i krzesłach)

Wanda.

Daruj, wujciu, ale tu rzeczywiście potrzeba rządów kobiecych.

Agapit.

Ja też myślę się jeszcze ożenić!

Bronisław.

Czy podobna?

Wanda.

Nie może być?!

Agapit.

Sama powiedziałaś, że tu potrzeba rządów kobiecych.

Wanda.

Tak, prawda, mówiłam, ale w tym wieku zenić się . . .

Agapit.

Ho, ho! ja jeszcze krzepki! Tylko ten krzyż dyabelnie mnie boli!

Tadeusz.

Bagatela krzyż, chciałem przecież pomóc.

Agapit.

I za tę pomoc gruby przysłać rachunek; dziękuję, dziękuję uniżenie!

Wanda.

Ależ, wujciu, źle sądzisz pana Tadeusza.

Karolina.

Gdyby to Janinka usłyszała, nie przebaczyłaby wujciowi.

Agapit.

Już to trudno... zalet dziś u młodzieży nie widzę...

Tadeusz.

To smutnie!

Bronisław (szyderczo).

To okropnie!

Wanda.

A ja widzę bardzo dużo zalet!

Karolina.

Zwłaszcza w panu Bronisławie!

Bronisław.

Czy tak być nie powinno, panno Karolino?

Karolina.

Owszem, lecz nie trzeba mieć przepaski na oczach! Miłość zawsze ślepa!

Agapit.

Zaczynasz mi się podobać, Karolciu.

Karolina.

Oby tylko; pragnę tego całą duszą!

Agapit.

Ale jednak po swojej śmierci, spadkobierczynią ciebie nie zrobię!

Karolina.

Och! dlaczegoż nie, wujciu?

Agapit.

Bo w szczerść ludzką nie wierzę. Zresztą nie będzie i czego zostawiać w spadku. Kilka perok, wygarbowana skóra, dziurawe skarpetki i finis! finis! mówię i basta!

Wanda.

Wujcio drwi sobie z nas.

Tadeusz (z ukłonem).

Zdaje się, że przeszkadzamy zwierzeniom rodzinnym — zatem żegnam!

Bronisław (z ukłonem).

I ja żegnam!

Agapit (podając dłoń odchodzącym).

Darujcie staremu otwartość... no... isłuchajcie rady dobrej: Najwięcej z was ten dokaże, który się sam wypracuje, nie oglądając zgoła na pomoc!

Bronisław.

Ha, piękna zasada, ale trudna do przeprowadzenia w życiu. Gdyby nie ta sól chilijska..!

Tadeusz.

Spróbuję usłuchać rady pańskiej.

(Tadeusz i Bronisław odchodzą głębia)

SCENA XVI.

Agapit — Wanda — Karolina.

Wanda.

Wujciu, niedobry jesteś, tak nas dziś zawstydziłeś wobec tych panów!

Agapit.

Co mi to za panowie!

Wanda.

Ależ, wujciu, to synowie najlepszych rodzin.

Agapit.

Ale goli, jak tureccy święci.

Wanda.

Matki ich pochodzą z arystokratycznego rodu, a cała rodzina bardzo zacna.

Agapit.

Cóż mi z tego? Tem perek nie okraszisz! To moja wygarbowana skóra już dużo lepsza!

Karolina.

Cóż to za wygarbowana skóra?

Agapit.

Jacek gałgan pozwolił zjeść myszom słoninę, a teraz krasi nam wygarbowaną skórą. Widzisz, jaka u mnie nędza; aż strach pomyśleć o przyszłości!

Karolina.

O, jakże wujcio grzeszy, tak mówiąc.

Agapit.

Co grzeszy? grzeszy? Co ty pleciesz? Ty, przepiórko, wcale mi się teraz nie podobasz!

Karolina.

Ależ wujcio przyzna...

Agapit (z gniewem).

Co przyzna? nic nie przyzna!

Wanda.

Prosimy się nie gniewać! Karolciu, gdzie owoc? Poczęstuj wujcia.

Karolina.

Tu, proszę, znakomite jabłka.

Agapit.

Znów jabłka! A pierogów nie przyniosłaś, a robisz dobre.

Karolina.

Zkąd nam się ma brać? Żyjemy z pracy rąk, a wujcio ma pełne biurko złota i wyrzeka jeszcze.

Agapit.

Już ty znów jesteś harda? Gdzieżeś to złoto liczyła, hę?

Wanda.

Ależ, Karolciu... Drogi wujciu, Karolina w swej żywości nieraz mówi i dopełnia niedorzeczności... daruj jej zatem!

Agapit.

Widzę to już, widzę i słyszę nawet.

Karolina.

Co ja? Wanda zmysły traci!

Wanda.

Karolciu...

Karolina.

Co w sercu, to i na języku! taka już moja natura!

Wanda.

Może wujcio będzie kiedy łaskaw na nas?

Agapit.

Skoro mi Karolcia smaczny befsztyk usmaży, to i przyjdę was odwiedzić.

Karolina.

Usmażę chętnie, ale wujcio pośle Jacka do rzeźnika po kawał polędwicy. O, befsztyk będzie kruchy i znakomity.

Wanda.

Uważaj, Karolciu...

Agapit.

Niesłychana to rzecz, żeby jeszcze gość z sobą nosił żywność! To tylko dla koni zabiera się obrok!

Karolina.

Nie mamy na to, żyjemy z pracy rąk!

Agapit.

Ciągle mi to na nos wieszasz!

Wanda.

Proszę, nie uważaj na Karolinę, wujciu, a zechciej nas odwiedzić. (Całuje Agapita w ramię i w rękę)

Agapit.

Patrz, Karolciu, jaka Wanda uprzejma grzeczna.

Karolina.

Rozkoszna nawet! Ha, ha, ha! Do widzenia ci, wujciu! (Kłania się zdaleka, przesyłając ręką buziaka. — Wanda i Karolina wychodzą środkiem)

SCENA XVII.

Agapit — później *Jacek*.

Agapit.

Poszły nareszcie. A to mnie wynudziły. A ci panicze przyszli nibyto złożyć uszanowanie . . . ho, ho! znam ja ludzi, znam! Pracować się nie chce, (pokazuje na stole) jeno tak zgarniać bez trudu. Jakby to złoto rosło, niby perz na polu. (Po chwili) Każdy chciwy na ten mój krwawo zapracowany grosz, ale ja was nauczę go cenić. Nauczę, o, nauczę! (chodzi po scenie, nagle chwytając się znów za krzyż) *Jacek!* *Jacek!* (*Jacek* wchodzi) Rozbierz mi łóżko, bo na krzyż wytrzymać nie mogę. Dyabli tam nadali z tem praniem, e . . . e . . . e . . .

Jacek.

Łóżko od rana gotowe, ale obiad ubogi, to wartoby kolacyę ugotować,

Agapit.

Kolacyę? Po co? Szkoda grosza.

Jacek.

Ojej, ja taki głodny, ściskanie, ból, procesyja!

Agapit.

Dam ci jabłko od panny Janinki.

Jacek.

Od tego aniolka? Niech jaśnie pan da, niech da.

Agapit (dając jabłko *Jackowi*).

Masz, ale to starczy za kolacyę.

Jacek.

Ojej!

Agapit.

Mówiłeś przecież, że dla panny Janinki tobyś i z głodu umierał.

Jacek.

No tak, prawda, dla Janinki to niech już i z głodu zdechnę! ojej! ale to dla niej, dla niej, to niech już zdechnę!

Agapit (odchodząc).

Ale prawda. Tylko nie ruszaj fotelu, skoro będziesz pokój uprzątał, bo zepsujesz go do reszty. (Odchodzi w prawo)

SCENA XVIII.

Jacek — później Honorata.

Jacek (przygląda się całą chwilę fotelowi).

Co też to temu fotelowi stać się mogło? Był calusieńki dziś rano. — Warto by go zbadać gruntownie; chociaż pan nie każe, ale jednak do ładu trzeba go doprowadzić; to już rzecz sługi. (Honorata wchodzi cicho głębią z koszem na ręku i staje przed zamyślonym Jakiem) Jezus, Marya! a to co? (Spluwa) A tfu!

Honorata.

A to mnie Jacek nie zna?

Jacek.

A znam do licha, baba jak czort.

Honorata.

Tak mnie to Jacek obraża? No, no, jeno co?

Jacek.

Czego chcecie?

Honorata.

Czego chcecie? Tak się nie mówi, jeno co? Czego sobie pani życzy? Rozumiesz, chłopcze?

Jacek.

No już dobrze, czego pani chce?

Honorata.

Przyniosłam wam grzybów suszonych, opleśniały mi w sklepie, to i taniej je dam, boć wy jednak nic dobrego nie kupicie.

Jacek.

Pan śpi teraz, jutro niech pani przyjdzie. Te opleśniałe grzyby to stary już weźmie, ale za pół darmo, bo skąpy jest, ajej skąpy. Głodny wstaję i głodny chodzę cały dzień.

Honorata.

Jeżeli masz głód, po co tu siedzisz? Poszukam ci innej służby, ale zapłacisz, chłopcze.

Jacek.

Nie chcę, dosłużę tu do dwóch lat, bo tak mi matuś kazali.

Honorata.

To mi synalek posłuszny. Wiem o dobrej służbie, mówię ci.

Jacek.

Gadajcie sobie, co chcecie, ja tu służyć będę, bo tak matuś kazali.

Honorata.

Z głupcem niema co gadać. (Odchodzi głębia)

SCENA XIX.

Jacek sam.

A to ci gruba baba, jak beczka. Nazywa się Budkowa, a to prawdziwa stodoła ha, ha, ha. (biega po scenie i śmieje się) To ci baba, to stodoła, ha, ha, ha, ale pst, stary śpi. Wezmę się teraz do roboty. (Przewraca fotel, zagłębia w niego ręce i znajduje cztery rulony złota) Jezus, Marya! a to co? Złoto, dalibóg złoto! ajej, jeden, dwa, trzy, ajej, aż cztery

rulony, ajej! A nie wódz nas na pokuszenie, ojej! a głód dokucza, ściskanie, ból, procesya po flakach chodzi. Coby to było chleba, ojej! choćby jedną mareczkę wziąć dla siebie. Siódme, nie kradnij, siódme nie kradnij. Nie, nie, nie chcę. Nie ruszę ani fenyga, choćbym z głodu umierał . . . (z radością) Wiem, co zrobię. W czwartek zaniosę pieniądze te Janince. Będzie miała posag i pobierze się z swoim Tadeuszkciem. Ojej, to będzie dobrze, ale jak dobrze. A teraz niech te rulony sobie siedzą w tym fotelu aż do czwartku. (Wkłada rulony i siada na fotelu) A ja to co? Czy z głodu zdechnę? Nie, nie zdechnę. Zjem jabłko od Janinki i wgadam w siebie, żem połknął obiad i kolacyę od razu. (Zasłona spada)

Koniec aktu I.



Akt II.

Scena przedstawia skromny salonik, ale ze smakiem urządzonej. Kanapa, fotele i stół na przedzie, drzwi głębią i po prawej, z boku lustro.

SCENA I.

Zofia — Janina (zajęte rączną pracą przy stoliku).

Zofia.

Dalibóg śmieszny jest projekt pana Kleofasa.

Janina.

Jaki, mammo?

Zofia.

Nie wiesz? Otóż dzisiajsze zebranie u nas ma na celu złowienie stryja Agapita dla spraw waszych, t. j. Wandy i twoich, raczej dla interesów panów Tadeusza i Bronisława, waszych narzeczonych.

Janina.

I zgodziłaś się, mammo, na ten projekt pana Kleofasa?

Zofia.

Czegoż matka nie zrobi dla dziecka? Zresztą niema w tem nic zdrożnego.

Janina.

Ale... jednak... to zawsze rodzaj intrygi... podstępu.

Zofia.

Ani jedno, ani drugie. Jest to tylko niewinny sposób przełamania dziwactw starego człowieka. Ostatecznie swych skarbów do grobu nie weźmie, niechżeż lepiej zrobi dobry uczynek za życia i zapewni los wam, sierotom.

Janina.

Biedne my jesteśmy, biedne.

Zofia.

Zapewne, kobiecie z własnej pracy utrzymywać się, to bardzo trudno. Tobie dziecko, łatwiej, bo masz jeszcze matkę, ale Wanda i Karolina Stróżańskie, to prawdziwe sieroty. Na pociechę waszą powiem ci, że mniej jesteście narażone na zły wybór, mówię tu tylko o charakterze mężczyzny, niż panny zamożne. Och, jak często kryje się pod wyszukaną elegancją i uprzejmością u mężczyzn, obrzydliwe skąpstwo,

wyrafinowany materyalizm i niczem nienasycona chciwość.

Janina.

I podobni panowie mają nieraz iskierkę szlachetności w sobie. Wiesz, mamo, zauważałam, że stryj, chociaż tak skąpy, ma swoje idealne strony. N. p. jaki on ci wierny. Niedawno mówił mi o pięknych twoich oczach... więc widocznie wrażliwy na piękno.

Zofia.

To więcej zmysłowość. Ale nie mów mi o tem; gotowam cię posądzić, że chcesz mnie namawiać do związku ze stryjem.

Janina.

Ależ, mamo, nigdy! chociaż przypuszczam, że los mój w takim razie nawetby się poprawił, lecz nie śmiałabym ci zrobić tej propozycji. Zanadto mi drogą również pamięć ojca.

Zofia.

Stryj nie zastąpiłby ci nigdy nieboszczyka ojca. Twój ojciec był nawskroś

szlachetnym, idealnym, gotowym do wszelkich znacznych usług; z potrzebującymi dzielił się ostatnim szelągami. W żaden sposób nie mogłabym z siebie zrobić tej ofiary, mając niegdyś tak zacnego męża, chociaż gotowam dla ciebie wszystko uczynić, Janinko.

Janina.

Nie żądam ofiar od ciebie, mamo, ale nie chciałabym także narażać na przykrość pana Tadeusza, bo zanadto go cenię i kocham za bardzo.

Zofia.

O czem myślisz, Janinko?

Janina (wzruszona).

Mamo, jeżeli stryj się nie przyczyni do naszego szczęścia... to ja.. ja zwolnię pana Tadeusza z danego słowa... nie chcę mu być kulą u nogi!

Zofia.

Wzruszasz mnie, Janinko.

Janina.

Pan Tadeusz młody, przystojny, z dobrą opinią i szlachetnem sercem, przytem wykształcony, może zrobić lepszą partycję.

Zofia.

Nie mów tak, dziecko! Dobrą partycję zrobić, to znaczy w dzisiejszem pojęciu ludzkim ożenić się bogato. Ale, czy ta dobra partycja będzie szczęściem prawdziwem? Czy więcej szczęścia nie dałaby człowiekowi żona dobra, wykształcona, piękna, ta ukochana i wybrana pośród tylu innych? Czy zresztą ta dobra partycja nie wnosi w dom wymagań i pragnień, nie licujących bynajmniej z wielkością jej posagu? (po chwili) Nie pojmuję cię, Janinko, że tak łatwo się wyrzekasz pana Tadeusza... a cóż powie na to serce twoje? cóż powie na to serce pana Tadeusza?

Janina.

Będę walczyła z uczuciem!

Zofia.

Pewną też jesteś zwycięstwa?

Janina.

O, mamó! nie pytaj, byleby pan Tadeusz był wolnym i szczęśliwym! (Tadeusz wchodzi głębia)

Zofia.

Czy byłby szczęśliwym? Nie wiem, ale otóż właśnie nadchodzi.

SCENA II.

Zofia — Janina — Tadeusz.

Tadeusz (z ukłonem).

Panie tak zaszępił, a zdaje się, że nas czeka dziś wesoly wieczór.

Janina.

I pan to twierdzi, panie Tadeuszu?

Tadeusz.

Dlaczegoż nie?

Zofia.

W samą porę przyszedłeś, panie Tadeuszu, bo Janinka dziś potrzebuje otuchy. Zostawiam was samych, ulżycie sobie wzajemnie serdeczną pogawędką. (odchodzi w prawo)

SCENA III.

Tadeusz — Janina.

T a d e u s z (siada przy Janinie i bierze jej rękę).

Cóż to się stało, najdroższa moja, że
lzy masz w oczach?

J a n i n a.

Panie Tadeuszu...

T a d e u s z.

Znów, panie Tadeuszu... dlaczegoż dziś
ciągle słyszeć muszę to panie? Alboż narzeczona nie ma prawa nazywać narzeczonego po imieniu, jeżeli nie wobec ludzi, ze względu na ich złośliwość, to przynajmniej wobec siebie samych?

J a n i n a.

Zmiana winna nastąpić...

T a d e u s z.

Jaka zmiana? Alboż nie byliśmy szczęśliwi?

J a n i n a.

O tak! i bardzo może... dlatego też nasze szczęście tylko krótko trwać mogło.

T a d e u s z.

Nie rozumiem ciebie, najdroższa!

J a n i n a.

Proszę, nie mów pan tak, od dziś znów jestem ci panną Janiną, obcą, jak najbardziej obcą.

T a d e u s z.

Na miłość Boską, co to jest? Miałoby uczucie szczerze i niewinne tak być nie-trwałem?

J a n i n a.

O to mnie pan nie posądzaj! Chcę, żebyś był wolnym... i wracam ci słowo...

T a d e u s z.

Nie pojmuję, o co pani chodzi.

J a n i n a.

Posagu nie mam, więc pana zwalniam z wszelkich przyrzeczeń, nie chcąc ci w przy-

szłości podcinać skrzydeł, abyś mógł wzbić się wysoko.

T a d e u s z.

Jeżeli wzbiję się wysoko, to tylko pani, panno Janino, będę miał do zawdzięczenia tę siłę moralną.

J a n i n a.

Mylisz się pan, kobieta ciężarem nieraz bywa mężczyźnie, jeżeli...

T a d e u s z (przerywając).

Ale nie kobieta zacna i szlachetna! Zresztą szczerą pracą obfity plon wydać musi.

J a n i n a.

Zapewne, ale ile trzeba przeboleć, ile lat przecierpieć... nie każdy zdolen do tego.

T a d e u s z.

Siły moralnej Pan Bóg nam nie poskąpi, bo o nią gorąco prosić będziemy. A teraz znów harmonia zapanuje między nami, wszakże tak? Panno Janino, proszę o uśmiech, w którym tkwi całe moje szczęście.

Caluje rękę Janiny, na to wchodzi Wanda, Karolina i Bronisław)

SCENA IV.

*Tadeusz — Janina — Wanda —
Karolina — Bronisław.*

Bronisław.

Otóż są! otóż się mają! Już na siebie patrzą, a świata ni ludzi nie widzą, tylko siebie!

J a n i n a.

Posądzasz nas pan o tak wielki egoizm, a i my widzimy państwo doskonałe.

T a d e u s z.

To zazdrość przemówiła przez Bronisława, chociaż sam przybywa w towarzystwie nie jednej lecz dwóch rusałek!

W a n d a.

Nie zauważyłam jeszcze, żeby pan Bronisław był zazdrosnym!

K a r o l i n a.

Istny bożek ten twój pan Bronisław. Wkrótce zapiszesz go w litanię do Wszystkich Świętych.

Bronisław.

Jaka pani złośliwa! a źródłem tej złośliwości...

Wanda.

...to chyba znów zazdrość!

Karolina.

O, rzeczywiście, jest też czego zazdrościć! taki egzotyczny okaz!

Bronisław.

Nie daruję pani tej uwagi, wszystkich chłopców odmówię, zostaniesz pani starą panną napewno.

Tadeusz.

Ostrożnie, ostrożnie z tym ogniem!

Wanda.

Darujcie sobie nawzajem, każde z was zawiniło, Karolina jest prędką.

Karolina.

Wiecznie we mnie widzisz złe przymioty, Wando, a panu Bronisławowi to świątynię dla hołdu wystawisz!

Tadeusz.

Zresztą bardzo słusznie, panno Karolino, ale świątynię szlachetnych uczuć w niewinnem sercu.

Karolina.

Uważam, że i pan stronę ich bierze, odtąd będę walczyła sama.

Janina.

Pomogę ci, Karolciu.

Karolina.

Niepodobna? Czyż zerwałaś przymierze z panem Tadeuszem?

Tadeusz (z westchnieniem).

Nieledwie już! Wisiało wszystko na włosku.

Wanda.

Zbyt wielkie ryzyko!

Karolina (śmiejąc się).

Ha, ha, ha! naturalnie, Wandzia obawia się ryzyka wszelkiego!

Wanda.

Ależ, Karolciu...

Bronisław.

Żądęko w języczku!

Tadeusz.

Proszę o zgodę; dziś sposobimy się do walki, a skoro nie będzie jedności, to przeciwna strona zawsze zwyciężyć musi.

Janina.

I pan także przystępuje do tej walki dzisiaj?

Tadeusz.

Żartuję tylko, lecz jedności nie zakłóczę.

Bronisław.

Naturalnie, Tadeusz też w grę wchodzi! Jak polować, to już większą gromadą! I panna Wanda nam pomoże, wszakże tak?

Wanda.

Uczynię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

Bronisław.

I panna Karolina zasili nas również swoim dowcipem!

Karolina.

Owszem, zasile, ale Wandzie, nie pana. Pomiędzy nami już nigdy zgody nie będzie!

Bronisław.

I panna Janina nam rady swojej nie odmówi przy nagance na zwierzyne?

Janina.

O, co to, to nie! Proszę na mnie nie liczyć zupełnie!

Bronisław.

Pani się waha? Alboż to godne nagany przekonywać dziwactwa czyjeś?

Janina.

Dziwactwa są słabością, a każdy podlegający im, jest nieszczęśliwym, bo jest niewolnikiem swoich błędów! Żal mi dziś straja serdecznie!

Karolina.

Nic a nic go nie żałuję, bo skąpiec i uparty jak kozioł.

Wanda.

Ależ, Karolciu, ściany mają uszy!

Karolina.

Wiecznie się czegoś obawiasz i jesteś bardzo ostrożną, a ostatecznie dalej nie zajdziesz odemnie, która zawsze występuję śmiało i otwarcie! (Po chwili) Och, jakże się dziś cieszę na to polowanie! To będzie co najmniej śmieszne!

Janina.

Biedny stryj, biedny!

Karolina.

Poco taki chciwy?!

Bronisław.

Zupełnie pani do niego podobna.

Karolina.

Tak pan uważa? Dobrze, spamiętam to sobie doskonale! będę chciwą całe życie!

Bronisław.

Tylko nie wówczas, gdy przybędę w odwiedziny do pani. Wszakże pani wiesz, że przepadam za bardzo mocną kawą i świeżą bułeczką, pieczywa pani.

Karolina.

Niestety znam już upodobania pańskie, a jeszcze lepiej pamięta o nich Wandzia.

Tadeusz.

To ślicznie!

Karolina.

Cudownie!

SCENA V.

Tadeusz — Janina — Wanda — Karolina — Bronisław — Zofia.

Zofia (z prawej).

Widzę, że już połowa naszego gronka się zebrała.

Tadeusz.

O, już nawet to gronko sprzecza się ze sobą na samym wstępie.

Zofia.

Byle nie na seryo.

Janina (żartobliwie).

Pan Bronisław zakłóca spokój bliźniego.

Tadeusz.

Panna Karolina stanowczo pobiła pannę Wandę w pojedynku na słowa. Skutek taki, że Broniek daje na zapowiedzi i spada z ambony z panną Karoliną, panna Wanda zaś topi się, ale nie we Wiśle, lecz w mocnej kawie, którą lubi namiętnie.

Wanda.

Winszuję, panie Bronisławie!

Janina.

I ja składam życzenia.

Zofia (żartobliwie).

Może was pobłogosławić? Klękajcie!

Karolina (klęka przed Zofią).

Owszem, ciociu! (Do Bronisława). Dlaczego pan cioci nie słucha? Gdzie posłuszeństwo i szacunek dla starszych?

Wanda.

Ależ, Karolciu...

Bronisław.

Prawdą, a Bogiem... wolałbym buty czyścić na przedpieklu, niż...

Karolina (przerywając).

Niż cioci mieć błogosławieństwo! A ślicznie! a pięknie!

Zofia.

Co to za trzpiot, ta Karolina!

Karolina.

Czy źle robię, ciociu? Przynajmniej wszystkich rozweselę. Ale żart na stronę. Czas najwyższy, żebyśmy ułożyli polowanie na wielmożnego Agapita Grzybickiego, herbu jeleń. Jak to ty pojmujesz, Janinko? Grzybicki, herbu jeleń? Widocznie jeleń chodził na grzyby, ztąd został Grzybickim, czy tak?

Tadeusz.

Łatwo dorabiać się u pani szlachectwa, szkoda, że nie jesteś królową.

Karolina.

Ależ jestem nią nawet!

Janina.

Fraszka królowa angielska i cesarzowa
Wszzech Indyi!

Bronisław.

Od kiedy pani monarchinią?

Karolina.

Od czasu starania się pańskiego o Wandę.

Bronisław.

A to ciekawe! Dla kogo żeś pani kró-
lową?

Karolina.

Dla pana! ha, ha, ha, dla pana!

Bronisław.

Dla mnie? Zkąd to przekonanie?

Karolina.

Bo pan lubi się ze mną sprzeczać...
a kto się czubi, ten się lubi... a kto się
lubi... ha, ha, ha!

Tadeusz.

Kto się lubi i czubi, ten się nieraz i...
zakocha!

Janina.

Brawo!

Bronisław.

Cudownie!

Wanda.

Ależ, Karolciu!

Zofia.

Trzpiot jesteś, Karolciu!

Karolina.

Wanda mdleje ze wzruszenia! Ciociu,
trzeba jej eteru!

Wanda.

Nie podaruję ci tej napaści, nie! nie!

Bronisław.

I ja nie! stanowczo nie!

SCENA VI.

Tadeusz — Janina — Wanda — Karolina — Bronisław — Zofia — Kleofas.

(Kleofas wchodzi głębia)

Bronisław.

A, jest i wuj!

Kleofas (z ukłonem dla obecnych).

Najpierw mnie spostrzegł Bronek, widocznie jestem mu najpotrzebniejszym.

Karolina.

O pewnie!

Wanda.

Ależ, Karolciu...

Karolina.

Znów mnie strofujesz, przestałam być pensyonarką!

Bronisław.

Od kiedy?

Karolina.

Od dwóch miesięcy.

Bronisław.

Sądziłem, że co najmniej od lat szczęściu!

Karolina.

Co za złośliwość!

Kleofas.

Bronek znów w sporach z panną Karoliną. Zawsze to samo spostrzegam i bardzo się tem niepokoję!

Karolina.

Dlaczego, proszę pana?

Bronisław.

Ciekaw jestem przyczyny.

Kleofas.

Przyczyną, czysto psychologiczne względy.

Bronisław.

Nie rozumiem cię, wuju!

Kleofas.

Lepiej, że chwilowo nie rozumiesz. Otóż baw teraz pannę Wandę, a nie podkładaj iskiei pod węgielki w kopalni!

Bronisław.

O cóż mnie wuj nie posądza! (Śmieje się)
(Ha! ha! ha!

W całej tej scenie osoby tak się grupują, siadając, że Tadeusz po cichu rozmawia z Janiną, Zofia z Wandą a Karolina sprzecza się, chodząc po scenie z Bronisławem, wreszcie staje w głębi i rozmawiają z sobą po cichu)

Kleofas (siadając przy Zofii).

Sądziłem, że już zastanę Agapita.

Zofia.

Jakoś się ociąga, czyby miał przeczucie?

Kleofas.

Być może, ha, ha, ha, być może! Ale jakby go tu dostać w zręczny sposób, bez wszelkiej urazy, bo jak się zatnie, będzie źle.

Zofia.

W tem właśnie sztuka!

Janina.

Biedny stryj, czeka go nieprzyjemność!

Karolina.

Broń Boże! małe tylko polowanko! więc przyjemność właściwie.

Wanda.

Trochę tylko frasunku chwilowego.

Tadeusz.

Raczej straszna walka.

Bronisław.

Zwyczajnie, jak na polowaniu! Jedna strona naciera, druga ocala się wybiegami.

Kleofas.

Aż wreszcie umknie! Otóż to, w tem sęk, żeby zwierzyna nie umkła! Kogoby to wysłać, jako naganiacza?

Bronisław.

Chyba pannę Karolinę!

Karolina.

Zauważyłam, że pan Bronisław daleko lepsze ma odemnie przymioty na naganiacza; giętki w nogach i w sercu, przerzuca się doskonale raz w prawo, raz w lewo.

Wanda.

Ależ, Karolciu...

Bronisław.

Nie, panna Karolina lepsza stanowczo, bo ma siłę w oku, jak pogromca.

Zofia.

Pst! pst! zgoda! Myśl jest niezła, bez obrazy dla Karolci. Otóż powiem państwu, jak ja myślę: Przeniesiemy się teraz wszyscy do stołowego pokoju na herbatę, a ja sama przyjmę Agapita i powoli go zacznę nastrajać; później zjawi się Karolcia, z miłą i sercem przylepki, a reszta sama się ułoży.

Wanda.

Dobry plan, cioteczko, znakomity! Karolciu, bądź tylko tak milutką, jak ty to nieraz potrafisz, jeżeli chcesz!

Bronisław.

Więc panna Karolina zmienna i kapryśna?

Wanda.

Ależ nie!

Karolina.

Nie broń mnie, Wandziu. Poświęcę się już dla pana Bronisława, będę wspaniałomyślną za wszelkie jego psoty.

Zofia.

A zatem, podług planu przechodzimy na herbatę, proszę bardzo! (Wszyscy wstają, kobiety wychodzą w prawo)

SCENA VII.

Kleofas — Tadeusz — Bronisław.

Kleofas.

A cóż zrobicie w razie odmowy Agapita?

Bronisław.

Ha, może wuj będzie łaskaw.

Kleofas.

Bój się Boga, chłopcze, ja nie mogę nic dla ciebie uczynić! Wiesz przecież, jaka klęska była w tym roku!

Bronisław.

Cóż więc ja mam powiedzieć i zrobić, jeżeli wuj narzeka, a wiesz ma bez długu? Za dużo mam weksli! Chyba, że się wcale nie ożenię!

Kleofas.

Ho! ho, ho, z tej beczki nie zaczynaj, bratku! Dosyć tego kawalerskiego życia! Ojciec twój nieboszczyk prosił mnie, żebym czuwał nad tobą.

Bronisław.

W takim razie... proszę wuja o zdrową radę!

Tadeusz.

Wypracujesz się powoli, a panna Wanda dużo ma zalet.

Bronisław.

Co przez ciebie przemówiło? Ani pomyśleć o tem nie mogę! A ty, czy także nie potrzebujesz? Nie udawaj szlachetnego!

Tadeusz.

Bronisławie, ubliżasz mi!

Bronisław.

Od kiedy Tadeusz taki poważny? Nie rozumiem go!

Kleofas.

Przepaska spadła mu z oczu!

Bronisław.

Ale jaka? Bo miłość oślepia!

Tadeusz.

Widocznie szczerze nie kochasz.. wolałbyś dziś może już...

Kleofas.

Tak, zdaje mi się, Broniek wolałby dziś już Karolinę... codziennie zresztą inną...

Bronisław.

Ja Karolinę? ha, ha, ha, tego trzpiota?!

Kleofas.

Strzeż się!

Bronisław.

Ani jednej, ani drugiej wziąć nie mogę pod tymi warunkami, jakie się zapowiadają.

Kleofas.

Więc się cofniesz?

Bronisław.

Namyśle się jeszcze, ale w przepaść
nędzy się nie rzucę.

Tadeusz.

Nieszlachetnie sobie postępujesz wobec
panny Wandy.

Kleofas.

I bardzo nieszlachetnie, na to pozwolić
nie mogę, bo to sierota, a panna z dobrej
rodziny i zacie wychowana, pełna taktu,
właśnie żona dla ciebie!

Bronisław.

Zobaczymy jeszcze... panna trochę nud-
na czasami... zresztą jeżeli wuj nie łaskaw
mi dopomóż, w takim razie zamiary ma-
trymonialne upaść muszą w jednej chwili.

Kleofas.

Dosyć mam twych uwag! Wracajcie do
pań; sam nie wiem, co jeszcze zrobię.

Tadeusz.

Chodź, Bronek, a przestań grać kome-
medyę, chyba, że ci w głowie panna Ka-
rolina siedzi, bo tego kręcić zaczynasz.

Bronisław.

Wszystko chcą dziś we mnie wmówić,
i szlachetność i bogactwo i miłość do Ka-
roliny! Ty zaś, Tadeuszu, zdajesz się grać
rolę milionera.

Tadeusz.

Więcej jestem, niż milionerem, bo zna-
lałem skarb prawdziwy i nieoceniony!

Bronisław.

Winszuję, więc dla ciebie złoto już nie-
potrzebne?

Tadeusz.

W każdym razie nie myślę na nie po-
lować! Chcę tylko tobie dopomóż. (Odchodzi
w prawo)

Kleofas (chodzi chwilę zamyślony).

Jakby tu dostać Agapita, a samemu
przytem nie stracić ani szeląga? W tem
ztuka, w tem sęk! (Odchodzi w prawo)

SCENA VIII.

Agapit — później *Zofia*.

Agapit (wchodzi bardzo ostrożnie głębią, oryginalnie ubrany, spodnie w wielkie jaskrawe pasy, kamizelka czerwona, krawat błękitny).

Niema nikogo! cisza! Cóż to? Czy wymierali? Za rychło widocznie przybyłem. (Patrzy na zegarek) Ależ już ósma! Spóźniłem się umyślnie, bo zdaje mi się... oni coś knują! Kleofas, to sztuczka, a Bronisławowi też przebiegłość z oczu patrzy! Gdyby nie wezwanie Zofii, ho, ho, nie widziałyby mnie te ściany. Ale oczy tej kobiety mają dziś jeszcze dla mnie powab szalony! One mi przypominają młodość i straszną walkę duszy, którą wówczas staczałem, nie wiedząc do czego przyłgnąć, czy do kobiety, której zdobyć nie mogłem, czy do złota, które samo mnie się czepiało.

Zofia (z prawej, podając rękę Agapitowi).

Nareszcie witam brata w swoim domu! Zwykle tak bywa, że goście pożądati każą na siebie czekać bardzo długo.

Agapit (całując Zofię w rękę).

Pożądati goście... od kiedy, pani bratowo?

Zofia.

Od kiedy? Dziwne pytanie! Ale proszę zająć miejsce. (Siada na kanapie, Agapit na fotelu)

Agapit.

Nie byłaś dotąd na mnie łaskawą, pani bratowo.

Zofia.

Bardzo się brat myli, kochałam zawsze mężowską rodzinę od czasu, jak zostałam żoną Franciszka, który szczerze był przywiązany do swoich.

Agapit.

Zdaje się, że robiłaś, bratowo, wyjątki... i że tym najmniej lubianym byłem ja właśnie.

Zofia.

Myli się brat niesłychanie! Wszystkich was równo kochałam i Kocham.

Stryj Agapit.

Agapit.

Nie wierzę, to nie byłoby naturalnem, chciałbym jednak należeć do tych, którym poświęciłaś cząstkę swego serca, pani bratowo.

Zofia.

Ależ bez wątpienia należysz brat do nich.

Agapit (zrywa się i całuje Zofię w rękę).

Och, byłoby to szczęściem nie do opisania! Zofio!

Zofia.

Ależ, mój bracie, proszę się nie unosić. Niema za co dziękować. To rzeczy przestarzałe, naturalne, najzwyczajsze w rodzinie.

Agapit.

Dla mnie niezwykle. Och, gdybyś mnie zrozumiała i poznała na wylot...

Zofia.

Rozumiemy się przecież i znamy doskonale od tak dawna.

Agapit.

O nie! za mało się rozumiemy, bo inaczej wiedziałabyś, Zofio, że dla oczu twoich poszedłbym w piekło.

Zofia.

Żarty, żarty, mój bracie, ale może przejdziemy do gości?

Agapit.

Daruj mi jeszcze chwilę!

Zofia.

Goście będą się niecierpliwili i nudzili.

Agapit.

A niechże się nudzą i niecierpliwia! Och, tu mi tak rozkosznie z tobą! Zofio, najdroższa Zofio, wiedz, że kocham cię dziś jeszcze do szaleństwa. (Pada na kolana)

Zofia (wstaje).

Proszę scen nie robić! Gdybyś brat był dla mnie tak życzliwym, jak głosisz, nie byłbyś tak twardym dla dziecka mego

i swoich i moich siostrzenic, potrzebujących koniecznie naszej opieki.

Agapit.

Rozwiałś mi cały urok, Zofio; zresztą zrobię wszystko, co każesz, ale zostań moja żoną.

Zofia.

Zbyt twardy warunek!

Agapit (wstaje).

Widzę, że jestem ci obojętnym.

Zofia.

Obojętnym bynajmniej, lecz nad wszystko droższa mi pamięć Franciszka!

Agapit.

O, ten łotr! on mi ukradł serce twoje!

Zofia.

Proszę uczcić brata, a wobec żony pamięć męża! Franciszek nawskroś szlachetny, nie zasługuje na takie miano. Nie wiem, co pomiędzy wami zaszło, nie chcę w to wchodzić, ale pamiętam, że byłam

wierną żoną Franciszkowi i resztę dni poświęcę wspomnieniu jego.

Agapit.

Więc to słowo stanowcze, pani bratowo?

Zofia.

Stanowcze i nieodwołalne!

Agapit (sztywno i zimno).

W takim razie i ja nic zrobić nie mogę dla córki twojej, ani dla siostrzenic naszych, Wandy i Karoliny.

Zofia.

Brat nie ma serca!

Agapit.

Bo go nie masz i dla mnie, Zofio!

Zofia.

Sądzę, że brat masz obowiązek względem pozostałych po rodzeństwie swoim.

Agapit.

Jak kto co pojmuje! Pieniędzy marnować nie lubię, a z głodu nikt jeszcze nie umiera.

Zofia.

W tym razie pomoc byłaby zapóźną! Zresztą nie drażnijmy się, pomówimy o tem w innym czasie. Wypada mi już teraz poprosić gości do saloniku. (Odchodzi w prawo)

SCENA IX.

Agapit — później *Karolina*.

Agapit.

Uparta, o, uparta! Ale te jej oczy, te oczy! Te oczy mógłbym całować, całować, całować bez końca i wreszcie... połknąć, jak ostrygi! dalibóg, jak ostrygi! Szalenie lubię ostrygi, to pasyjka, na którą mi jeszcze nie żal grosza. (Po chwili) Na prawdę połknąłbym te oczy, jak ostrygi i oblizywałbym się po nich z godzinę! Och, te oczy, te oczy! więcej mnie ciągnie do nich, niż do ostrygi! fraszka ostryga! fraszka!

Karolina (z prawej).

Wybornie się tam bawimy, wujciu.

Agapit.

Czas marnujecie, pieniądze wyrzucacie niepotrzebnie na przyjęcie gości.

Karolina.

Młodość ma swoje prawa, ale widzę, że i wujcio cały dziś wyświeżony. O, jaki wujcio ładny!

Agapit.

No widzisz... no widzisz... naprawdę ładny? Bądź szczerą.

Karolina.

Ależ śliczny! Proszę pójść do lustra i przejrzeć się.

Agapit (przed lustrem).

Niezgorszy, hm, niezgorszy!

Karolina (zalotnie i wesoło).

Jaki młody!

Agapit.

Żartujesz, ty przepiórko.

Karolina.

Nie śmiałym przecież... A jaki elegancki!

Agapit.

Có mówisz?

Karolina.

Że wujcio dziś taki elegancki.

Agapit.

Naprawdę, he?

Karolina.

Ależ tak. Dziś wszystkie kobiety wujcio oczaruje niechybnie.

Agapit.

Kpisz sobie, ty rozpustny kociaku.

Karolina.

Wujciu, zasmucasz mnie, nie wiesz nawet, jak cię kocham! Och, to kochanie! to straszna rzecz! (Zamyśla się i kiwa głową)

Agapit (zamyśla się również).

Tak, tak, to straszna rzecz.

Karolina.

Zdaje się, że mówisz z doświadczenia, wujciu, choć jesteś tak zamożny, a w dodatku tak młody i elegancko wyglądasz.

Agapit.

A ty, maleńka, też już masz doświadczenia, bo tak żałośnie kiwasz główką.

Karolina.

Chciałabym je mieć i zdobyć sobie tak ładnego mężczyznę, jakim jest wujcio.

Agapit.

Masz niezły gust! ha! ha! ha! niezły gust! (bierze ją pod brodę) ty mały, mały kociaku!

Karolina.

Ależ nie! nie! podobno już nie chcę kochania.

Agapit.

Dlaczegoż nie?

Karolina.

Dlatego, że widzę po Wandzi, ile to się cierpi, kochając.

Agapit.

Bo Wanda głupstwo popełnia, wychodząc za Bronisława, jest lekkomyślny i goły!

Karolina (zalotnie).

O, nie, wujciu, mylisz się, pan Bronisław nie jest lekkomyślnym, tylko jest swobodnym, grunt ma bardzo dobry. To znakomity chłopiec... ale, wujciu, ale... trochę ma wekselków... trochę... to wartoby je popłacić... to małeńkie wekselki... ma-lusieńkie... (Całuje w ramię Agapita i przymila mu się)

Agapit (porywczo).

Tak, tak, wujcio płąć! zawsze płąć! i jeszcze raz płąć! a sam w domu, jedz wygarbowaną skórę na starość ze ziemniakami.

Karolina.

Och, wujciu! (wzdycha) Ty wiesz, co to miłość, co to ból! Gdyby tak ciocia Zofia... o, jak byłbyś szczęśliwym!

Agapit (z widocznym wzruszeniem).

Nie mów mi o tem.

Karolina.

Gdyby tak ciocia Zofia zechciała... pomyśl, ile doznałbyś rozkoszy, patrząc w te czarowne jej oczy. Dziś masz pustki w domu... smutek... i samotność cię ogarnia i pożera... (Siada i podpira głowę)

Agapit.

Rozdziera mi ranę to dziewczę. (Zamyśla się) Drażnisz mnie, Karolciu, idź do gości.

Karolina.

Co tak smutnie stoisz, wujciu?

Agapit.

Rozwiązuję zagadkę swego życia.

Karolina.

Jaką, wujciu?

Agapit.

Co więcej szczęścia dać może na ziemi... złoto, czy kobieta?

Karolina.

Jakież porównanie! Bezwarunkowo kobieta, bo ma duszę, a złoto jest martwe.

Ale pomyśl, wujciu, jak ty jesteś nieszczęśliwym, bo ciocia Zofia nie chce wysłuchać twoich prośb... Wyobraź sobie, ile Janina i Wanda cierpią nad swoim losem, bo też kochają szczerze swoich narzeczonych. Och, wujciu, gdybyś tylko zechciał, mógłbyś im te lzy otrześć... i nieskończenie dużo szczęścia przymnożyć, a wówczas możeby i ciocia Zofia...

Agapit.

Czy na seryo to mówisz, czy grasz komedye?

Karolina.

Zupełnie myślę na seryo.

Agapit.

Zmęczyłaś mnie, zostaw w samotności.
(Karolina wychodzi w prawo)

SCENA XI.

Agapit — później *Stasia*.

Agapit.

Rozdrażniła mnie ta Karolina. Co tu robić? Szał mnie porywa dla tej kobiety.

(Po chwili) Więc dać im grosze, dać? Nie! nie! mój krwawo zapracowany grosz miałby pójść na zapłacenie lekkomyślnie zrobionych długów i to długów kawalerskich?! Nie! nigdy! Ale co powie na to Zofia? Och, te jej oczy mógłbym całować, całować bez końca!

(Stasia wchodzi głębią, wnosząc tacę z winem i ciastami)

Agapit.

O, o, i wino dziś macie?

Stasia.

To pan Bronisław z panem Tadeuszem przysłali to wino.

Agapit.

Lekkomysłni panicze!... Młodość, płochość, rozrzutność! Tak, tak, grosza nie umieją cenić i sypią talarami! Pewnie i tobie dostanie się często?

Stasia.

Uchowaj Boże, anibym nie wzięła. Pani nie pozwoli nic przyjmować od gości.

Agapit.

Dobrze robi twoja pani; ale jest tam też w kuchni mój Jacek?

Stasia.

Jest, proszę pana.

Agapit.

A dajże mu tam dobrze jeść, a dużo, bardzo dużo! Ten chłopak wiele potrzebuje.

Stasia.

Dam mu jeść, o dam, u nas nikt krzywdy mieć nie będzie, choć panie moje pracują ciężko.

Agapit.

Ciężko pracują, mówisz? he?

Stasia.

Zapewne, że ciężko, chodzą zawsze spać o pierwszej w nocy. W dzień dają lekcye, a wieczorem szyją, haftują, zwyczajnie, jak to w domu, zawsze jest robota.

Agapit.

Pracować trzeba, niema rady.

Stasia.

Ale nasze panie tego nie zwyczajne, mizernie też wyglądają i długo takiej pracy nie przetrzymają. (Caluje Agapita w rękę) A jaśnie pan taki bogaty.

Agapit.

Istny spisek! I ta także. Kto ci mówił o mojem bogactwie?

Stasia.

Jacek mi opowiadał, że jaśnie pan codziennie kupy złota liczy.

Agapit.

Jacek to powiedział? O, hultaj! dam ja mu, dam! Ale ty mu nie wierz, to łgarz, pierwszy łgarz, mówię ci! Idź i weź go za uszy odemnie, a już napaś dobrze tego błazna, bo on wiecznie głodny, a żołądek jego to jak ta próżna szpitalnia, w której myszy skórę garbują! (Stasia wychodzi głębia)

SCENA XII.

*Agapit — Zofia — Kleofas — Janina —
Wanda — Karolina — Bronisław — Ta-
deusz*

(wchodzą z prawej i grupują się około Agapita).

Zofia.

Rażnij nam teraz będzie, tu, w salo-
niku.

Kleofas (podając rękę Agapitowi).

Długo kazałeś na siebie czekać... jak
gdybyś się nas obawiał.

Agapit.

A może.

Janina.

Jakże z zdrowiem stryjka? O, dziś
o wiele lepiej stryjek wygląda.

Wanda.

Nietylko, że lepiej, ale tak świeżutko!

Tadeusz (z ukłonem).

Znakomicie wygląda pan łaskawy.

Bronisław (z ukłonem).

Jak młodzieniec! (Zofia i Janina zajmują się czę-
stowaniem gości, Tadeusz nalewa wina)

Zofia.

Otóż proszę, proszę bliżej. Wypijemy
zdrowie miłych nam gości. (Wszyscy biorą kie-
liszki)

Kleofas.

Wpierw wypijemy zdrowie gospodyni.

Tadeusz.

Zdrowie płci pięknej.

Bronisław (do Karoliny).

Najpierw „kochajmy się“!

Agapit.

Za dużo tego zdrowia na raz! Z nad-
miaru zdrowia można się rozchorować.
(Wszyscy trącają kielichami i siadają)

Kleofas.

Zapewne, rozmaite są przyczyny chorób.

Karolina.

O, najgorsza jest tylko jedna.

Stryj Agapit.

Bronisław.

Jaka?

Karolina.

Miłość!

Agapit.

Tak twierdzisz stanowczo?

Karolina.

Stanowczo, wujciu!

Wanda.

I ja to twierdzę.

Tadeusz.

I ja pojmuję.

Bronisław.

Bezwarunkowo, miłość to najniebezpieczniejsza przyczyna wszelkich ciężkich chorób.

Zofia.

Zwłaszcza miłość bez przyszłości.

Agapit (z westchnieniem).

Macie słuszność! teraz i ja to twierdzę, że miłość główną jest przyczyną najroz-

maitszych chorób, zwłaszcza wątroby, żółci, stąd i... niestrawność.

Janina.

Stryjku, miłość, to poezya!

Bronisław.

A... a... niestrawność, to proza!

Janina.

Naturalnie! jak można mieszać jedno z drugim!

Wanda.

Ale i w piśmiennictwie dziś nieraz poezya jest prozą, a proza poezją.

Janina.

I jak często, — ale tu mówimy o życiu rzeczywistem, nie książkowem.

Kleofas.

Choroby przyczyną jest nieraz także i pusta kieszeń.

Bronisław.

Jak często! Już czuję nawet, jak mi wątroba puchnie, och, jak strasznie na-

brzmiewa. Wielki ból mi dokucza, och,
jaki ból!

Karolina.

Biedny pan!

Agapit.

Dam panu znakomitych pigulek...

Bronisław.

Dziękuję, ale pigułki skutkować nie będą... Wszystko mnie pożera... miłość...

Tadeusz (kończąc).

...kłopot o przeszłość... naturalnie nędza i bieda...

Janina (do Tadeusza).

Więc i pan na to się uskarża?

Tadeusz.

Ja na miłość... stanowczo na miłość tylko.

Bronisław.

Ja na miłość i biedę.

Agapit.

A Wandzia na co narzeka?

Wanda.

Na te same dolegliwości, co i pan Bronisław.

Kleofas.

A panna Janina milczy? Widocznie najzdrowszą z nas wszystkich.

Janina.

Chciałabym zachorować... t. j. najlepsze mam zamiary chorowania na rozwagę i zimny rozum...

Agapit.

Czy takie objawy można nazywać chorobą?

Zofia.

Owszem, i to jest zboczeniem natury, jeżeli rozum i rozwaga zbyt są zimne...

Kleofas.

Widzę, że całe towarzystwo potrzebuje szybkiej pomocy lekarskiej.

Zofia.

I to koniecznie, to nagląca sprawa, bo cała przyszłość może być zwichnięta szerząc się epidemią.

Agapit.

Chorzy żyją nieraz długo.

Zofia.

Ale się męczą i stają kalekami na ciele i na duszy. (Wanda rozmawia w głębi z Bronisławem, Janina z Tadeuszem, Agapit, Kleofas, Zofia i Karolina siedzą na przodzie sceny przy stoliku)

Agapit.

Do kalectwa daleko, ludzie wytrzymają dużo. (Do Zofii) Patrz, bratowo, jak sobie tam gruchają.

Zofia.

Cóż z tego, że gruchają? Ale domu własnego się nie doczekają.

Agapit.

Dlaczegoż nie?

Zofia.

Nie mają na to stanowczo. Dziś pewnie po raz ostatni na siebie patrzą.

Wanda.

Och, mój Boże!

Bronisław.

Och! okropnie.

Kleofas.

Słuchaj, Agapicie, jak wzdychają do siebie. Tak, pewnie to już po raz ostatni na siebie patrzą.

Karolina (do Agapita żalonym głosem).

I to po raz ostatni, po raz ostatni. Wujciu, chce mi się płakać.

Kleofas.

Strasznie tem jestem przygnębiony.

Agapit (do Kleofasa).

Jeżeli ci tak ich żal, to dopomóż im. Masz na to, masz, Kleofasie.

Kleofas (nalewa wciąż wino Agapitowi, trącając często kieliszkami i pijąc dużo).

Dalibóg, nie mam ani fenyga do stracenia. (Zofia z Karoliną rozmawiają chwilę w głębi, później zwolna wychodzą wszyscy w prawo, prócz Agapita i Kleofasa)

SCENA XIII.

Agapit — Kleofas.

Agapit.

I ja nie mam grosza do stracenia.

Kleofas (dolewając wina).

Kochany *Agapicie*, ty masz dużo, bardzo dużo.

Agapit (trąca z *Kleofasem*).

Drogi *Kleofasie*, mówię ci, że mrę z głodu.

Kleofas.

Żartujesz, najdroższy *Agapicie*, tyś przecież najwięcej od nas pracował.

Agapit.

Prawdę powiedziałeś, miły *Kleofasie*.

Kleofas.

Szalenie pracowałeś, najmilszy *Agapicie*.

Agapit (przysiada bliżej i zarzuca ramię na szyję *Kleofasa*).

Widzę, żeś mnie pojął, zacny *Kleofasie*.

Kleofas (odwdzięcza się uściskami, tak, że jeden drugiemu leży ciągle na szyi).

Pracowałeś od świtu do późnej nocy, szlachetny *Agapicie*!

Agapit.

Poznałem, żeś mnie studyował, najmędrszy *Kleofasie*!

Kleofas.

Pojałeś cel pracy i jej owoce. Tyś filozofem, jedyny *Agapicie*!

Agapit.

Rozumiesz mnie doskonale, wybrany *Kleofasie*!

Kleofas.

Pracowałeś jak wół dla społeczeństwa i siebie, ty wielki *Agapicie*!

Agapit.

O, jakim ci wdzięczny, żeś to spostrzegł, najdroższy przyjacielu!

Kleofas (żałosnym głosem).

Zpracowywałeś się w swojej gorliwości,
jak ostatni... ostatni... osioł, najcierpliwszy
Agapicie!

Agapit (opuszcza ramię z szyi Kleofasa i prostuje się
nagle).

Co...o...o? co...o...o?

Kleofas.

Nurzałeś się w pracy, jak tłusty mój
wieprz w błocie. Ty szlachetna duszo, ty
jedyny Agapicie!

Agapit (zimno).

Obrażasz mnie!

Kleofas (sposzregając się).

Ja miałbym cię obrażać, ja? ciebie?
któryś wzorem szczytnym skrzętności?! Ja
ciebie wielbię, jako ideał pracy! (Całują się)

Agapit (rozczulony, płacze).

Jakże cię tu nie kochać? z całego serca
wdzięczny ci jestem za ten szacunek.

Kleofas.

Codziennie cię stawiam za przykład
Tadeuszowi i Bronisławowi. To dobre chłopa-
ki, powiadam ci, że dobre; chciałbym,
żeby byli takimi jak ty, jedyny Agapicie,
wzorowymi pod każdym względem.

Agapit.

I jak ty, drogi bracie, zacnymi i do-
brymi.

Kleofas.

Ale widzisz, młodość płochość, żeby
mieli stateczne żony, toby się ułożyli
i byłiby tobie podobnymi.

Agapit.

Wszakże mają narzeczone?!

Kleofas.

A mają, ale ich zamiary rozchwiać się
muszą, bo nie posiadają środków na zało-
żenie gniazda. Dopomóżmy im, najdroższy
i zacny Agapicie, dopomóżmy im, toć to
krew nasza.

Agapit.

A ile im dasz od siebie?

Kleofas.

Dam, na pewno dam, ale trochę później,
bo chwilowo nie mogę; gdybyś ty dał
wpierw, to mogliby się już pobrać.

Agapit.

Daj ty wpierw, to i ja dam trochę.

Kleofas.

Nie mogę teraz, kochany Agapicie.

Agapit (zimno).

Ha! kręcisz, to i ja dać nie mogę.

Kleofas.

Agapicie najdroższy, tyś wzorem pracy,
bądźże wzorem litości.

Agapit (zimno).

Ho, ho, chcesz mnie złapać. Kręci mi
się, co prawda, ale się nie dam. Dopomóż
ty, to i ja dopomogę.

Kleofas.

Bracie, klęska na polach.

Agapit (wstaje).

A u mnie pustki w kieszeni. (Po chwili)
Dyabli nadali z tem winem. Głowa cięży,
jak kula ołowiana, ale się nie dam, nie
dam! (Po chwili) Mój grosz krwawo zapra-
cowany na długi kawalerskie! na te marne
kawalerskie długi! to za wielkie żądanie.

Kleofas.

Szlachetny Agapicie, ty masz tak za-
cne serce.

Agapit.

Daj mi pokój. Muszę wyjść na świeże
powietrze, tu duszno i gorąco.

Kleofas.

Ależ, Agapitku, jedyny bracie, trzeba
im dopomódz, tak się kochają!

Agapit.

Mówilem, do stu piorunów! jak ty dasz
to i ja dam!

Kleofas.

No, już dam im po 7,000 marek.

Agapit.

I ja dam po 7,000 marek, ale pod jednym warunkiem. Godzisz się?

Kleofas.

Godzę napewno, ale powiedz, jaki warunek.

Agapit.

Dam po 7,000 marek, jeżeli się nie ożenię wpierw od nich.

Kleofas.

Dobrze, dobrze, godzę się. Słowo honoru daj na to, bratku.

Agapit.

Na cóż ci słowo honoru?

Kleofas.

Dla porządku rzeczy.

Agapit.

Dobrze, daję słowo honoru, ale i ty je daj także.

Kleofas.

I ja daję, ale pod warunkiem.

Agapit.

Jakim?

Kleofas.

Skoro ty dopomożesz młodym parom, to i ja dopomogę, a skoro ty im nic nie dasz, to i ja im nic nie dam. Dla pewności spiszę tu akt. (Siada i pisze, a następnie czyta)

Pan Agapit Grzybicki zobowiązuje się dać po 7 tysięcy marek każdej parze nowożeńców, t. j. pannie Janinie i panu Tadeuszowi, pannie Wandzie i panu Bronisławowi, ale tylko wówczas, jeżeli się wpierw od nich nie ożeni. Pan Kleofas Perłowicz złoży również dla każdej pary nowożeńców po 7 tysięcy marek, ale pod warunkiem, jeżeli i pan Agapit sumę taką parom wyliczy. (Mówi) Teraz podpisz, Agapicie.

Agapit.

Podpisz wpierw, Kleofasie.

Kleofas (podpisuje).

Kleofas Perłowicz.

Agapit (podpisuje).

Agapit Grzybicki. (Sapi) Aleś mnie zmęczył! To wszystko twoja sprawka; dyabli cię tu nasłali.

Kleofas.

Ależ bracie, jedyny Agapicie, ty mnie nie znasz, źle mnie sądzisz.

Agapit.

Dosyć tego! (Zatacza się) Zawrot mam, wychodzę na ulicę.

Kleofas.

Idę z tobą, mógłbyś mieć wypadek.

Agapit.

Dziękuję, idę sam. Przyślij mi tego błazna Jacka. (Odechodzi głębia).

SCENA XIV.

Kleofas — później Janina i Tadeusz.

Kleofas (rzuca się na fotel).

A tom się spracował! gorzej, niż ten wół roboczy Grzybicki. A to twarda bestya!

Janina (z prawej z Tadeuszem).

Stryjka niema?

Kleofas.

Wyszedł na ulicę, wino mu szumi, ale zwycięstwo po naszej stronie.

Janina.

Żeby się tylko stryjowi co złego nie stało; może wysłać Jacka?

Kleofas.

A prawda, zechciej pani wysłać Jacka, bo prosił o to Agapit. (Janina wychodzi głębia)

Stryj Agapit.

SCENA XV.

Kleofas — Tadeusz.

Kleofas.

Wyobraź sobie — złapałem go. Byłbym go dostał w łapkę całego, ale się spostrzegł i cofnął, pomimo ciężkiej już bardzo głowy. Skoro tylko wspomniałem o pieniądzach, wytrzeźwiał nagle i jasność ogarnęła jego umysł. Zmusiłem go jednak o tyle, że chce wam dopomóc, ale pod tym warunkiem, jeżeli się wpierw od was nie ożeni.

Tadeusz.

Ha, ha, ha! wyborny sobie! Wykręci się, jak nic. Jedyne okaz w swoim rodzaju.

Kleofas.

O nie, nie, bądź spokojny, on się nie wykręci tym razem. Jest dumnym, niestosownego małżeństwa nie zawrze, o to spać mogę spokojnie. Zresztą znany z brudnego skąpstwa; nawet najuboższa dziewczyna go nie weźmie.

Tadeusz.

Obojętna mi dziś ta sprawa zupełnie, chyba dla Bronka.

Kleofas.

Nie pojmuję cię.

Tadeusz.

Wybór zrobiłem już, w każdym razie stanowczy.

Kleofas.

A no... winszuję, jeżeli tak. W takim razie dzień szczęśliwy dzisiaj, bo i polowanie nam się udało niezgorzej. Trzeba pomyślną wiadomością podzielić się z osobami, które to bliżej obchodzi. (Odchodzi w prawo)

SCENA XVI.

Tadeusz — później Janina i Jacek.

Tadeusz.

Dwóch skąpców schwytało się w łapkę. Ha, ha, ha! jeden przebieglejszy od drugiego. Ciekawy jestem, który z nich zwycięży.

Janina (wchodzi głębią, za nią Jacek).

Jeżeli chcesz mi coś powierzyć, Jacku, to powiedz mi teraz.

Jacek (całując Janinę w rękę).

Chciałbym pomówić w cztery oczy, przyniosłem coś dla panienki.

Janina.

Dla mnie?

Jacek.

Tak, dla panienki, ale nie wiem, (patrząc na Tadeusza) czybym mógł tutaj...

Janina.

Nie mam tajemnic przed panem Tadeuszem, a zatem mów śmiało.

Jacek (obejmuje nogi Tadeusza).

Ale niech jaśnie pan mnie nie wyda.

Tadeusz.

Nie lękaj się, umiem zachować tajemnicę.

(Jacek wyjmuje z kieszeni cztery rulony złota i kładzie je na stół przed Janiną)

Janina.

Cóż to, na Boga?!

Jacek.

Masz, panienko, schowaj i bierz swego Tadeuszka. Ojej, jak się cieszę, zem ci to przyniosł.

Janina.

Jacuś, zkad te pieniądze?

Jacek.

Z tego fotelu, co to niby był kulawy, a on zdrowszy odemnie, ojej! (Drapie się za uchem)

Janina.

Na miłość boską, coś ty uczynił, Jacuś?!

Jacek.

Ojej, a com ja złego uczynił? Anim złamanego grosza nie wziął dla siebie, ani lichego fenysa, a głodny byłem, jak wilk, a ściskanie i ból miałem w dołku, a procesyja chodziła po flakach. Jam nic nie ruszył, tylko wziął dla mojego aniołka, dla Janinki, żeby miała swego Tadeuszka. Czy to źle? ajej!

Tadeusz (wzruszony).

Pocziwiec!

Janina.

Źle zrobiłeś, Jacusiu, źle, bo to jest kradzież.

Jacek.

Ale ja dla siebie nic nie chcę z tego złota; a toć to stryj panienki i dzieci nie ma ani kawałka. A na cóż mu tyle pieniędzy? poco dać nie chce? To mu trzeba wziąć! Żadna mu stąd krzywda; kupy złota liczy co dzień

Janina.

Jeżeli stryj dobrowolnie dla nas nic uczynić nie zechce, nie można mu gwałtem zabierać grosza. To kradzież, to rabunek.

Tadeusz.

Jacek, panna Janina dobrze mówi, nie wolno ruszać cudzej własności, za to nawet jest kara więzienia. Ale rozumiem cię, zacny chłopcze, tyś myślał tylko o szczęściu naszym, a nie o skutkach swego czynu.

Jacek.

Ojej, chciałem dobrze, bo i panna Janinka dla mnie była dobrą; gdyby nie ona

byłbym już z głodu odkręcił. I teraz panna Janinka nie chce pieniędzy jeszcze wziąć. Co to będzie z tego? Pan ze służby wygna, do więzienia wsadzi.. (Po chwili) A niech mnie wygna, niech mnie i do kozy wsadzi, byleby panna Janinka była szczęśliwą.

Janina.

Dziękuję ci, mój dobry chłopcze, za twe zacne serce dla mnie, nie zapomnę ci twego czynu do śmierci, ale teraz usłuchać mnie musisz.

Jacek.

A co panienska każe?

Janina.

Chcę cię uwolnić od wszelkiej winy i stryjowi wskazać twoją uczciwość i niewinność.

Jacek.

A jak to będzie? ajej!

Janina (siada i pisze na rulonach).

Otóż tu na rulonach napisałam: „Rzetelnie zwrócone, a poruszone jedynie

z dobroci serca.“ Teraz je weź i włóż w ten sam fotel, na to dawne miejsce. Ostrożnie to zrób, żeby nikt nie widział, a zabierz rulony tak, żeby nawet Stasia nie dostrzegła twego czynu.

Jacek (bierze rulony).

O, Stasia nie zobaczy, choć nos wszędzie wtyka, zwyczajnie jak baba. (Jacek patrzy długo w milczeniu na Janinę i Tadeusza) Ale... (obejmuje ich kolana) co to teraz będzie? To panienka nie będzie miała Tadeuszka?

Tadeusz.

Kto ci to powiedział? Bądź spokojny! Przedewszystkiem Tadeusz będzie miał najdroższą swoją Janinkę, jeżeli go nie odepchnie. (Wyjmuje pieniądze i daje Jackowi) Masz, chłopcze, kup sobie świeżych bułek do kawy, a kochaj mnie tak, jak kochasz pannę Janinę.

Jacek (obejmuje nogi Tadeusza).

Ojej! ktoby to was nie kochał! Janinki i jej Tadeuszka. (Odchodzi z wolną głębią)

Tadeusz (do Janiny).

Wzruszył mnie do głębi serca ten chłopiec. Otóż prostak, a umiał panią ocenić

i wyróżnić z pośród innych, a ja miałbym dla tak błahych przyczyn tracić skarb taki! Nigdy! (Całuje jej rękę)

Janina.

Zostawmy to Bogu, panie Tadeuszu.

(Zasłona spada)

KONIEC AKTU II.

—————
AKT III.

Scena przedstawia mieszkanie Agapita, jak w akcie pierwszym.

SCENA I.

Agapit — później *Kleofas* — *Tadeusz* —
Bronisław.

Agapit (wpada głębią zmęczony, ubiór w nieładzie, czapka na bakier, rzuca się na fotel).

Nareszcie wszystko załatwione, każdej teraz chwili mogę się zapewnić, że nie stracę ani fenysa. Świetnie się urządziłem, ale co to pracy kosztowało! Myślałem, że ducha wyzionę. Wszystkie wdowy i stare panny obleciałem, no, wreszcie i mam. Baba wprawdzie straszna, jak noc, a gruba

jak beczka, ale niech ją tam zaraz też dyabli porwą! brr! brr! Cóż było robić? Oni się spieszą, to i mnie się spieszyć trzeba. (Kleofas, Tadeusz i Bronisław wchodzą głębia)

Kleofas.

Przysliśmy cię zawiadomić, drogi przyjacielu, że wszystko pięknie nam się układa.

Agapit.

T...a...a...k?

Tadeusz.

Pomieszkane już dawno wynajęte.

Agapit.

Byle nie zbyt kowne. O ilu pokojach?

Tadeusz.

Pomieszkane o sześciu pokojach, z kuchnią i łazienką.

Agapit.

Co za zbytki! Dwoje ludzi, a sześć pokoi? I jeszcze kuchnia! i jeszcze łazienki! Do czego te łazienki?

Tadeusz.

Jako lekarz winienem mieć przyzwoite pomieszkane, bo z pozorów ludzie sądzą mnie będą, a łazienki konieczne są ze względów zdrowotnych.

Agapit.

Alboż tam się pławić będziecie codziennie? Dawniej ludzie kąpali się bardzo rzadko i też tryskali zdrowiem. Ja bo wody nie ruszyłem z jakie dziesięć lat.

Tadeusz.

To nie może wyjść na zdrowie.

Agapit (szorstko).

Co pan tam wie o tem! Taki młokos! Zaledwie trochę medycyny chłapnął.

Tadeusz (z urazą).

Ależ, proszę pana, pan wiecznie mnie obraża.

Agapit.

Bo pan wiecznie plecie głupstwa.

Tadeusz.

Tak dalej być nie może.

Agapit.

Ale tak dalej będzie.

Kleofas.

Wolno, wolno, Tadeuszu, starzy ludzie mają swoje nawyknięcia.

Agapit (w rozdrażnieniu).

Liczyłeś mi lata, he? Do starych jeszcze nie należę; ty masz głowę białą, jak gołąb.

Kleofas (spokojnie).

A pewnie, najdroższy przyjacielu; tylko proszę cię, uspokój swoje nerwy... bo widocznie są osłabione... i mogłoby się stać...

Bronisław.

A tak, mogłoby przyjść do wybuchu.

Agapit.

Do jakiego wybuchu?

Bronisław.

Mógłbyś łaskawy pan zapaść na pomieszczenie zmysłów.

Agapit (z bojaźnią).

Co ja? ja? Co pan plecie? Tego się boję, jak dyabła. He, doktorze, czy ty to także twierdzisz?

Tadeusz.

Nie objawię swego zdania, bo łaskawy pan je sobie lekceważy...

Agapit.

No... no... mów. Wierzyć ci będę.

Tadeusz.

Nic łatwiejszego jak to, to choroba wieku.

Agapit.

Przestraszasz mnie.

Kleofas (z słodyczą).

To też szanuj swoje drogocenne zdrowie, najlepszy przyjacielu, i nie truj się niczem.

Agapit.

Jakże się tu nie truć?!

Tadeusz.

Po cóż się truć? Najlepsze przynosimy wiadomości. Otóż kupiliśmy już meble.

Agapit (zrywa się).

I meble kupili, za co? za co? Na rachunek wzięli, a ty, Agapicie, płac! płac! wszystkie długi kawalerskie płac! i to twoim krwawo zapracowanym groszem płac! (Chwyta się za głowę) Co za podłość! (Chodzi szerokimi krokami po scenie)

Tadeusz.

Znów straszna obraza. Nie do wytrzymania.

Bronisław.

Trzeba wziąć na cierpliwość.

Tadeusz.

Zbyt silna myślałaby być dawka tej cierpliwości, mogłaby działać odurzająco i wręcz przeciwny mieć skutek.

Bronisław.

Ale nie dokończyłem, łaskawy panie, dziś była trzecia zapowiedź.

Agapit.

Już trzecia zapowiedź? Jakim sposobem?

Bronisław.

Najnaturalniejszym w świecie, czas należyty upłynął, pojutrze ślub nasz.

Agapit.

Powaryowali! powaryowali! Co nagle, to po dyable. Nic dobrego z tego nie będzie; pary nie są dobrane.

Tadeusz.

Jakto? Proszę pana o wytłomaczenie.

Agapit.

Uważałem, że pan Bronisław umizga się więcej do Karoliny, niż do Wandy, a Karolina... to jeszcze dziecko.

Bronisław.

Zdawało się łaskawemu panu.

Kleofas (do Bronisława).

A widzisz, Bronek, było słuchać starszych. (Do Agapita) Mylisz się, Agapicie, Bronek szalenie zakochany w pannie Wandzie.

Agapit.

Co ty mnie tam gadasz. Dobrze mam oczy, widzę i przez dębową deskę. Pan Bronisław gotów, po ślubie z Wandą, szaleć za Karoliną.

Bronisław.

O nie, myślę się tylko wytańczyć z panną Karoliną na swoim ślubie z panną Wandą.

Agapit.

Wytańczyć? A co wy tam znów zamysłacie?

Tadeusz.

Wesele ma być z tańcami i muzyką; tak sobie życzy Bronek.

Agapit (z gniewem).

Wesele z tańcami i muzyką? Jeszcze czego! Za co, do stu piorunów? za mój krwawo zapracowany grosz? Niech was

tam wszyscy czarci porwą! A jeszcze tego, a jeszcze owego, za mój krwawo zapracowany grosz. Niech was piekło pochłonie! (Odchodzi)

SCENA II.

Kleofas — Tadeusz — Bronisław.

Kleofas (rozdrażniony).

Coście wy narobili za bigosu? Trzeba było milczeć o pomieszkaniu, meblach i muzyce. Zresztą Agapit ma słuszość. Za ciężkie czasy na takie głupstwa. Było kupić łóżka, stół i dwa krzesła, pannę raniem wziąć pod ramię i w zwyczajnem codziennem ubraniu zaprowadzić przed ołtarz. Ale wam zawsze zbytki po głowie chodzą; panicze zostaną paniczami.

Tadeusz.

Ależ proszę cię, stryju. Wygodne urządzenie domu, to główny warunek do przyszłego stanu zdrowia całej rodziny.

Kleofas.

Co cię tam stan zdrowia twojej przyszłej rodziny obchodzi? Jesteś doktorem,

Stryj Agapit.

to ją sobie lecz. Leczysz ją przecież za darmo.

Tadeusz.

Daruj, stryju, ale to zbyt zacofane pojęcie. A co do muzyki... to niech się Broniek tłumaczy.

Kleofas.

Tak, Broniek doskonały! Długów ma po same uszy, a walcować mu się zachciewa. Wiem nawet, onby życie chciał przentańczyć, ale z Karoliną, a nie z Wandą. Tu jednak wara!

Bronisław.

Jakto wara? Jeżeli zechcę, to jeszcze czas.

Kleofas.

Już po zapowiedziach.

Bronisław.

Ale jeszcze nie po ślubie. Panna Wanda kocha siostrę i gotowa dla niej zrobić ofiarę.

Kleofas.

Zaczynasz kręcić. Oj, Broniek! Połóż rękę na serce i mów prawdę. Którą dziś wolisz?

Bronisław.

Jeżeli wujowi chodzi o gołą prawdę, to powiem, że wolę dziś Karolinę.

Kleofas.

Ale ja ci powiadam, że Karolina, to trzpiot. Wanda ma takt, Wanda żona dla ciebie. Wandę też weźmiesz, bo wszelkiej pomocy odmówię.

Bronisław.

Do jutra się jeszcze namyśle.

Tadeusz.

Broniek, gdzie honor? gdzie uczciwość?

Bronisław.

Dyabli mi tam z tem wszystkim, jeżeli jeszcze posagu nie wezmę. (Wybiega głębia)

SCENA III.

Kleofas — Tadeusz — Honorata.

Kleofas.

Widzisz, Tadeuszu, wyszło szydło z miecha. Ty go zawsze bronisz, a ja ci powiadam, że wietrznik zostanie wietrznikiem całe życie.

Tadeusz.

Bronek jest trochę lekkomyślny, ale serce ma dobre, on powróci też do Wandy. Z Karoliną nie byłby szczęśliwym; zanadto jest obcesowa, chociaż w gruncie zacna. Żal mi Wandy... może i lepiej byłoby, gdyby się wcale nie pobrali z Bronkiem.

Kleofas.

Kawalerskie życie Bronka skończyć się musi; on potrzebuje osoby, któraby nad nim czuwała. Wolę przeboleć już te kilka tysięcy marek, ale tylko dla Wandy, nie dla Karoliny; nie lubię jej.

Honorata (wchodzi głębią z koszami).

Padam do nóg państwu. (Dyga na wszystkie strony) A jest pan Grzybicki w domu?

Kleofas.

Niema, wyszedł na miasto. Czego sobie życzyacie?

Honorata.

Co za życzyacie? żadne życzyacie! Ja nie pana wy! Jestem panią Budkową, owocarką z rynku.

Tadeusz (kłaniając się zabawnie).

Wielki zaszczyt!

Kleofas (kłaniając się również śmiesznie).

Co za honor witać panią!

Honorata.

No przecież, że honor, wielki honor! jeno co? Familiantką jestem: moja matka była kucharką u pana burmistrza, moja siostra pomywaczką w hotelu, brat czyści buty studentom, a ojciec wywozi brudy i śmieci z podwórza wszystkich adwokatów i doktorów.

Tadeusz.

Znakomita rodzina!

Kleofas.

Zasłużona bardzo.

Honorata.

Jeno co? jeno nie? Co pan sobie myśli? Więcej warta, niż inna, co ludzi uczciwych oszukuje.

Kleofas.

Jakto oszukuje? Nie rozumiem, o kim pani mówisz.

Honorata.

No o tym skąpcu, o Grzybickim.

Tadeusz.

A cóż on zrobił?

Honorata.

Jeszcze nic nie zrobił, ale myśli oszukać. A ja się boję, ja już nie chcę, ja jemu nie wierzę. Co ja pocznę? ja się boję. Bieda u mnie, radabym co zarobić i dużo zarobić, to mnie kusi. I znów się boję... jeno co? boję się.

Kleofas.

O co pani chodzi właściwie?

Honorata.

Nie mogę mówić przed czasem, bo powiedzą, że pytel baba. Jeno co? pytel baba! (Agapit wchodzi głębia)

SCENA IV.

*Kleofas — Tadeusz — Bronisław —
Honorata — Agapit.*

Agapit (widząc Honoratę, cofa się przerażony, lecz powraca).

A czego pani tu chce?

Honorata.

No, przyszłam się jeszcze dowiedzieć dokumentnie. Ja się boję, bez wielkiego zysku nie zrobię. Na jedno zezwoliłam, na drugie nie. Jeszcze czas, jeno co? jeszcze czas.

Agapit (zasłaniając Honoracie usta ręką).

Cicho! cicho! jutro mi pani powie.

Honorata (krzyczy).

Ajej! ja nie chcę! Jeno co? nie chcę, słyszy pan?

Agapit (z gniewem).

Do stu piorunów! proszę milczeć i pójść do swego domu! Sam przyjdę po te jabłka; niech pani rusza do domu. (Wypycha ją powoli)

Honorata.

Już idę. A to czułość. Jeno co? Już mnie wypycha. A to honor! A to uczciwość! Jeno co? Boję się, nie chcę! nie zrobię tego! (Odchodzi głębia, Agapit wychodzi za nią)

SCENA V.

Kleofas — Tadeusz.

Tadeusz.

Co się tu dzieje? To nieczyste sprawy.

Kleofas.

Jakieś oszukaństwo! wykrety! podejście! Czyżby Agapit? Ależ nie. Za wielki z niego arystokrata. Chodź, pójdziemy go śledzić.

Tadeusz.

Nie, stryju, tego nie uczynię, tem się brzydzę.

Kleofas.

Ty zawsze zostaniesz marzycielem, a tu trzeba czuwać, żeby obiecany grosz doszedł do rąk waszych.

Tadeusz.

Och, stryju!

Kleofas.

No co, och, stryju?

Tadeusz.

Wstrętne mi to polowanie na pieniądze.

Kleofas.

Może tak zrobisz, jak Bronek? Pewnie niezadowolony dziś jesteś z swego wyboru? Wolałbyś inną pannę?

Tadeusz (stanowczo, z urazą).

Obrażasz mnie, stryju, i obrażasz do głębi duszy, a ze mną razem to zacne

dziewczę. Kto raz pozna podobną istotę, temu inna tak łatwo podobać się nie będzie.

Kleofas (uderza go po ramieniu).

No, no, chłopcze, umiem cię cenić. Gdyby Broniek podobnym był do ciebie, byłbym o wiele spokojniejszym o jego przyszłość. Ale chodźmy go odszukać, bo on naprawdę gotów się posunąć za daleko z Karoliną. (O odchodzą głębia)

SCENA VI.

Jacek — później Bronisław.

Jacek (z prawej).

A gdzie jaśnie pan? Tu przecież sły-
szałem jego głos przed chwilą, i znów go
niema. Lata jak kot z pęcherzem teraz po
mieście. Ale niechby sobie tam latał, byle-
by też i o mnie pamiętał. Ale nie, nie pa-
mięta! nic, a nic. On głodem przymiera
i ja to samo. W spiżarni już ani jednej
pereczki nie widać, ani krzty ny garbowa-
nej skóry. Ojej! co to będzie? (Pokazuje na
żoładek) Tu już nic niema, zgoła nic, jeno

torba pusta, co się nazywa Maćkiem. Wszyst-
ko wpadło gdzieś, jeno kruczy, jeno bur-
czy, ajej, jak burczy! (Siada na fotelu i bije go
pięściami) Ten przekłety fotel tyle ma pie-
niędzy i nic człowiekowi z tego, ani miski
kaszy, ani kromeczki chleba. Chyba zemrzeć
przyjdzie na tej kupie złota.

Bronisław (wchodzi głębia).

Jacek, czy była tu dziś panna Karo-
lina?

Jacek (zrywa się z fotelu).

¶ Nie była, poco miała być? Ona mi
jednak nic nie przyniesie. Janinka, toby
zaraz coś dała.

Bronisław.

To panna Karolina skąpa i nielitoś-
ciwa?

Jacek (krzywiąc się).

Ojej! i jaka skąpa.

Bronisław.

¶ Co tobie? tak się krzywisz.

Jacek.

Głód, ściskanie, procesyja po flakach.

Bronisław.

Szkaradny kutwa ten twój pan. Trzeba być więcej niż waryatem, żeby siebie i innych tak marnować dla nędznego grosza.

Jacek.

Ja też to zawsze mówię, jaśnie panie, że on gorszy od osła... bo osioł idzie do żłoba i żre. Ale pan nie słucha, drzemnie za uszy i głodem każe przymierać i sam głodny łazi. Ajej, ściskanie, nie mogę wytrzymać.

Bronisław.

A czy twój pan tak łatwo głód znosi? Niepodobna.

Jacek.

A czy ja wiem. On chyba złoto zjada. Raz widziałem, tak, widziałem przez dziurkę od klucza, jak połknął cały rulon. A może to była kielbasa?

Bronisław.

Nie może być. Kiedy to się stało? To pewnie łykał ostrygi — na to jedno pieniądze nie żałuje.

Jacek.

To było przed miesiącem — tam w tym pokoju. (Pokazuje na prawo) A może on i ostrygi jadł.

Bronisław.

Zapewne, że ostrygi, uspokój się, widziałem nawet, że sam je kupuje i przynosi.

Jacek.

To on mnie oszukuje?! Łyka ostrygi po kątach, a ja mrę z głodu. (Płacze) Pójdę do Janinki, to mnie poratuje. (Wstaje i wychodzi)

Bronisław.

Czekaj, weź te pieniądze (daje mu pieniądze) i kup sobie chleba i kawał kielbasy. Nie mogę słuchać twego wyrzekania.

Jacek (obejmując nogi Bronisława).

Bóg zapłać! Bóg zapłać! ojej! św. Jacku, będzie pieróg, będzie pieróg. (Wychodząc głę-

bia, spotyka się z Karoliną) Pan Bronisław lepszy od panienki, dał mi dwie mareczki, dał na chlebek i na kielbasę. (Odchodzi)

SCENA VII.

Karolina — Bronisław.

Karolina.

Lekkomyślnym był i lekkomyślnym będzie.

Bronisław.

Kto taki?

Karolina.

A pan! pan bezwarunkowo.

Bronisław.

Ja? ja? Alboż na taki zarzut zasługuje, panno Karolino? (Patrzy jej głęboko w oczy) Panno Karolciu. (Chce całować jej ręce)

Karolina (wyrywając mu ręce, ostro).

Nie bądź pan natrętnym. Nie lubię tego.

Bronisław (z słodyczą).

Ależ ja tęsknię do pani od samego rana. Panno Karolciu... Karolciu.

Karolina (poważnie).

Proszę mnie nie męczyć. Siadaj pan sobie tam, na tamtem krześle, a ja tu na tem.

Bronisław (siada z daleka).

Ale ja tu nie wytrzymam, a mam dziś tak dużo pani do powiedzenia. Ja muszę koniecznie przyjść bliżej.

Karolina (stanowczo).

Niech pan siedzi cicho, jak uczeń w klasie, bo inaczej odejdę w tej chwili.

Bronisław.

Będę już siedział jak mysz pod miotłą, ale czy wolno mi być otwartym?

Karolina.

Za otwartość się nie gniewam.

Bronisław (wstaje).

Dziękuję pani.

Karolina (stanowczo).

Proszę siedzieć.

Bronisław (siada).

Siedzę, jak trusia. Przerywa mi pani rozmowę i studzi zapał.

Karolina.

Zapał niepotrzebny.

Bronisław.

Ale o rzeczy takiej trudno mówić bez zapału. Och! pani mi nie uwierzy, przeczuwam niestety, a ja jednak prawdę wyjawić muszę. Chodzi tu o moje szczęście.

Karolina.

Szczęście pana zapowiada się doskonałe, bo Wanda będzie znakomitą żoną, zącą, dobrą i pełną godności.

Bronisław.

Ależ, panno Karolino, niech pani pozwoli, niech pani mnie wysłucha. Pomimo wszelkich przymiotów panny Wandy... (Zrywa się z miejsca)

Karolina.

Proszę się nie ruszać. (Wanda wchodzi głębią i słucha)

Bronisław.

Co za męka! nie mogę wytrzymać. Karolciu, najdroższy aniele, (rzuca się do nóg Karoliny) Ciebie kocham, tylko ciebie; ty jedna będziesz moją, ty jedna, jedyna.

SCENA VIII.

Karolina — Bronisław — Wanda.

Wanda.

Jest wujcio u siebie?

Karolina (zrywając się).

Boże!

Bronisław (zrywa się).

Uf! z nieba spadła.

Wanda.

Cóż to państwu? Miny takie powarzone; albowiem się co stało?

Karolina.

Nie.

Bronisław.

Nic się nie stało. Cóż się miało stać?

Wanda.

Widziałam pana w pochylonej pozie...
sądziłam, że pocieszasz Karolinę.

Bronisław.

Podnosiłem chusteczkę pannie Karolinie,
zresztą nic, rozmawialiśmy sobie zwyczajnie.

Wanda.

Jakto, zwyczajnie?

Bronisław.

Obojętnie.

Wanda.

Pocóż obojętnie?

Bronisław.

■ Dlaczego pani tak bada? Bawiliśmy
się, jak zwykle, wybornie.

Wanda.

Bawiliście się państwo wybornie, rozmawialiście obojętnie, to zwyczajnie... Może przeszkadzam?

Karolina.

Mnie nie przeszkadzasz bynajmniej.

Bronisław.

I mnie nie. (Patrzy na zegarek) Ale już późno.
Dziś jeszcze do reszty załatwić się muszę
z meblami. Do widzenia paniom. (Odchodzi
głębia)

SCENA IX.

Wanda — Karolina.

Wanda (siedząc, po długim milczeniu).

O, jakże mi słabo.

Karolina.

Cóż ci to, Wandziu?

Wanda.

Pytasz się tak troskliwie.

Karolina.

Dlaczegożby nie? Ileż to razy już pielęgnowałam cię w chorobie.

Wanda.

Prawda, ale dziś...

Karolina.

Co dziś?

Wanda.

Może wolałabyś, żebym była na marach?

Karolina (z oburzeniem).

Ja? Wando!

Wanda.

A ty.

Karolina.

Cóż ci zawiniłam?

Wanda.

Domyśl się sama; mówić mi trudno.
Och, Karolino.

Karolina.

Nie rozumiem cię.

Wanda (z bólem).

Ty... mnie zdradzasz.

Karolina.

Ja?

Wanda.

Ty... i... Bronisław.

Karolina (śmiejąc się).

Ha! ha! ha! ja cię zdradzam, ja!

Wanda.

Widziałam go u nóg twoich.

Karolina.

Znasz go, bawić się chciał moją osobą.

Wanda.

Nie, on ciebie dziś więcej kocha niż moją osobę.

Karolina.

Mylisz się.

Wanda (wzruszona).

Oko mam dobre, a jeszcze lepsze przecucie. Bądź szczęśliwą...

Karolina (rozczulona).

Wando, szlachetność twoja mnie wzrusza.

Wanda (wśród łez).

Bądźcie szczęśliwi oboje. (Zasłania twarz rękoma)

Karolina (nachyla się nad Wandą).

Najdroższa moja siostrze, jakaś ty zacna, jakaś ty dobra!

Wanda.

Więc jednak prawda? O Boże! (Po chwili)
O jedno cię proszę... kochaj go prawdziwie i szczerze, z poświęceniem, bo pragnę go widzieć szczęśliwym.

Karolina (z siłą).

Wando, co mówisz? Ja kochać jego? Za co? za co? pytam się ciebie. Za to, że zdradza tak szlachetną duszę, jaką ty masz, siostrze? Nigdy! Podłym jest, odepchnę go ze wzgardą.

Wanda (rzuca się Karolinie w ramiona).

Karolciu!

Karolina.

Wandziu, i tyś myślała?

Wanda.

Że jesteś mu wzajemną.

Karolina.

Krzywdziłaś mnie ciężko, ale nie gniewam się, bo byłam nieraz lekkomyślną. Słuchaj mnie, Wandziu, lepiej ci żyć i umierać w samotności, niż powierzyć przyszłość swoją takiemu człowiekowi, jakim jest Bronisław.

Wanda.

Zkądżeż znajdę na to siłę? Och, jak ja go kocham! Boże!

SCENA X.

Wanda — Karolina — Janina (głębia).

Karolina.

O, jakżeś nam potrzebna w tej chwili, Janinko. Pragnęłam cię całą duszą.

Wanda.

Obydwie cię pragnęłyśmy.

Janina.

Przestraszacie mnie.

Wanda (z bólem).

Słuchaj, szczęście moje rozwiało się, jak mara.

Janina.

Nie rozumiem cię.

Wanda.

O, jakże mi trudno się tłumaczyć.

Karolina.

Lepiej, że ci się, Wandziu, teraz oczy otwierają przed ślubem, niż po ślubie. Nie masz o co się martwić; w twojem położeniu zatańczyłabym raczej sobie.

Janina.

Nic a nic nie rozumiem.

Karolina.

Wolność i swoboda przedewszystkiem, a jeżeli się wiązać na wieki, to tylko z człowiekiem nawskroś szlachetnym.

Janina.

Domyślam się, że pan Bronisław... ależ nie.

Wanda.

Opowiedz jej, Karolino.

Karolina.

Rzecz to niełatwa i dla mnie. Znam Bronisława, jest niestałym; Wanda spostrzegła jego winę, przykro jej bardzo. Stanowczo radzę dać mu odkosza.

Janina.

Ty jej radzisz? ty?

Karolina.

Naturalnie, że ja.

Janina.

Do winy należy dwoje.

Wanda.

Nie kończ, Janinko. I ja posądzałam porówno z tobą Karolinę. Ona niewinna; dziś odepchnęła go.

Janina.

Dziś... może.

Karolina.

Drażniłam się, prawda, sprzeczałam z nim, ale w niewinnej myśli.

Janina.

Robiłaś tem niesłychaną przykrość siostrze.

Wanda.

Nie wymawiaj jej, Janinko, to brak doświadczenia. Dziś Karolcia okazała się szlachetną.

Karolina.

Nie potępiaj mnie, Janino.

Janina.

Skoro Wanda ci przebacza, to i ja wybaczyć winnam, kładąc lekkomyślność twoją na karb. młodości.

Wanda (z bólem).

O, jakżeż to okropnie, rzucać wymarzone szczęście!

Janina.

Uspokój się, nie cierpisz sama.

Wanda.

Co słyszę? miałabyś i ty?

Karolina.

Co? czyby i pan Tadeusz? Nie, to niepodobna.

Janina.

Tadeusz jest najszlachetniejszym człowiekiem pod słońcem. Tem bardziej mnie to boli, że poświęca się dla mnie. Nie mogę przyjąć tej ofiary, dobrowolnie go się zrzeknę i zwolnię z danych przyrzeczeń.

Wanda.

Janinko, jakaś ty zacna! lecz nie widzę żadnej ofiary z jego strony.

Karolina.

I ja nie widzę tej ofiary.

Wanda.

Nawzajem siebie godni jesteście. Niepotrzebnie się drażnisz urojonemi wyrzutami sumienia.

Janina.

To nie są urojone wyrzuty. Dziś spostrzegłam smutnym i zamyślonym pana Tadeusza; szedł ulicą z głową pochyloną... i nawet mnie nie widział. Czuję, że cierpi.

Karolina.

Stanowczo urojenie u ciebie, moja Janinko.

SCENA XI.

Wanda — Karolina — Janina — Kleofas
— Tadeusz. (Kleofas z Tadeuszem głębia)

Kleofas (zdyszany).

Czy jest Agapit?

Wanda.

Niema wuja.

Kleofas.

A to się rozszalał. Coś się niedobrego dzieje, naprawdę. Klnę się na Wszystkich Świętych, że tu się coś złego stanie.

Janina.

Ale co? co?

Kleofas.

Gdziekolwiek się ruszę, każdy mnie obrzuca wykrzyknikami i pytaniami; „Niepodobna! Bój się pan Boga! to dziwactwo! Ależ to straszne! to wstyd dla rodziny, to okropne, to niemożliwe!“ — Pytam się, o co chodzi, zamiast odpowiedzi, słyszę śmiech szyderczy i widzę wykrzywienie twarzy.

Tadeusz.

Powinien się stryj domyślić wszystkiego. Mówiono przecież o niewłaściwym ożenku.

Kleofas.

Czyżby Agapit?

Tadeusz.

Pan Agapit Grzybicki ożenił się. Ha, ha, ha! ożenił się!

Janina.

Czy podobna?

Wanda.

Boże!

Karolina.

A to nam wypłatał figła!

T a d e u s z.

Ale bardzo nieszlachetnego figla, a głów-
nie sobie go wyplatał.

K l e o f a s.

To jedynie na to obrachowane, żeby
się samemu wywinąć z danej obietnicy,
a mnie wpakować samego. O, to nic dobre-
go, to łotr.

J a n i n a.

Ależ, proszę pana, nie można na stryja
tak wymyślać; to jemu i nam ubliża.

K l e o f a s.

Przepraszam panie, ale niech go pani
nie broni, bo zły postępek, złym postęp-
kiem zostanie, a w dodatku cały ciężar
spadnie na mnie samego.

J a n i n a.

Na pana? Wątpię bardzo.

K l e o f a s.

Jakto, pani wątpi? Wszakże stryj pani
nas podszedł?

J a n i n a.

Ale umowa polega na wzajemności.

K l e o f a s.

Ktoś roztropniejszym być winien od Aga-
pita; trzeba młodym dopomódz.

T a d e u s z.

Drażliwa kwestya i bardzo przykra.

J a n i n a.

Niezmiernie drażliwa i sędzę, że nie bę-
dzie potrzeba jej wcale rozbierać.

W a n d a.

Również tak myślę.

K l e o f a s.

Nie rozumiem pań.

W a n d a.

Panowie są wolni.

T a d e u s z (do Wandy).

Zechciej się pani bliżej wytłomaczyć.

Wanda.

Nie pragnę widzieć jeszcze pana Bronisława.

Kleofas.

Na to pozwolić nie mogę. Ożenienie się z panią będzie szczęściem dla Bronisława.

Wanda.

Pan Bronisław sam chętnie się tego szczęścia wyrzeknie... krępować go nie myślę, a i Janinka...

Tadeusz (przełknięony).

Co? na Boga! panno Janino.

Janina.

Znając szlachetność pańską, panie Tadeuszu, obawiam się, że nie dosyć się zbałaś... że robisz zbyt wielką ofiarę... a ja nie chcę ci być zaporą w życiu...

Tadeusz (z bólem).

Panno Janino, czy chcesz mi pani złać życie?

Janina.

O Boże! nigdy, chciałabym panu nieba przychylić.

Tadeusz (bierze jej rękę).

Więc nie odpychaj mnie pani. Jestem w tej chwili więcej samolubem, niż pani myślisz. Z czysto osobistych względów nie zwolnię pani z danego słowa. Będiesz kwiatem mego życia.

Janina.

A dlaczego pan dziś byłeś smutnym i zamyślonym?

Tadeusz.

Bo wstrętne mi są wszelkie chytre wykręty. Kocham prostotę dróg i prostotę serca.

SCENA XII.

*Wanda — Karolina — Janina — Kleofas
Tadeusz — Agapit.*

Agapit (wpada zdyszany i rzuca się na szezłag.)

Gonia mnie, napadają, ojej! i tu pełno udzi. Czyhają na mnie, jak na złoczyńcę.

Stryj Agapit.

Czego oni chcą odemnie? Odetchnąć nie mogę.

Kleofas.

Oszalejesz do reszty dziś, Agapicie. Co się z tobą dzieje?

Tadeusz.

I ja się lękam o pana. Pan strasznie wyglądasz.

Agapit (zrywając się).

Strasznie wyglądam, ja? doprawdy? Janinko, jak ja wyglądam?

Janina.

Bardzo zmęczony, stryjku.

Kleofas.

Wyglądasz tak, jakbyś był obłąkany.

Agapit (wystraszony).

Co ja? ja? ja? Ależ mówcie! ja? ja?

Janina.

Uspokój się, stryjku, to przejdzie.

Wanda.

Niedobrze wyglądasz, wujciu, ale to pewnie chwilowe... to minie... ja też to twierdzę.

Karolina.

Gdzie byłeś, wujciu? coś robił?

Agapit.

A tobie co do tego? Pilnuj tam swoich pensyonarskich zeszytów.

Karolina.

Dawno je popaliłam.

Agapit.

A z nimi całą swoją mądrość.

Karolina.

O, przepraszam cię, wujciu, rozum mój i dowcip ludzie wielbią nawet.

Agapit.

Może Bronek, he? Wcale mi się ten Bronek nie podoba, i ty z nim razem.

Wanda.

Karolcia niewinna.

Agapit (rozdrażniony).

Winna, mówię, do stu dyabłów, że winna!

Karolina.

Wuj mnie obraża.

Agapit.

Pannie takiej przystoi skromność.

Janina.

Drogi stryjkę, nie drażnij się, to szkodzi zdrowiu twemu. Karolina nie miała złych zamiarów.

Agapit (macha ręką i rzuca się na fotel).

Wszystkich zawsze bronisz, niebo robisz ze ziemi, a to czyste piekło... ten świat.

SCENA XIII.

Wanda — Karolina — Janina — Kleofas
— Tadeusz — Agapit — Zofia — Bronisław.

Zofia (wchodzi głębią z Bronisławem).

Wreszcie was znalazłam, moi państwo. Wieczór zapada, a tyle jeszcze spraw do załatwienia. Panienci, proście wuja i stryja na ślub, na 11 godzinę przed południem.

Kleofas.

Na ślub pofatyguje się Agapit bez prośnienia, to rzecz naturalna; gdyby tego nie zrobił, skrzywdziłby swoich krewnych. Ale, ponieważ dziś już będzie zaproszony i zapowiedzi już wyszły, ponieważ widzi też, że cała sprawa bierze poważny obrót, więc i on powinien dotrzymać obietnicy.

Agapit.

Dotrzymaj ty jej wpierw.

Kleofas.

Dotrzymam bezwarunkowo, skoro i ty coś uczynisz.

Agapit (wzdycha).

U mnie bieda, jaka bieda!

Kleofas (szydlerczo).

Wielka bieda, największa, jaka istnieje. Słyszałem, że popełniłeś dziwactwo. Prawda, to tylko przy biedzie spotykamy się z podobnymi wybrykami.

Agapit (szydlerczo).

Jakie dziwactwo? Dawno rozwiązać chciałem zagadkę, co lepsze, pieniądze, czy ko-

bieta? I nigdy jej rozwiązać nie mogłem, bo kobiety nie zdobyłem sobie, więc nie dziw mi się, że na starość znów zagadkę zapragnąłem rozwiązać, żeby umieć rozróżnić złe od dobrego. I ożeniłem się! ha, ha, ha! ożeniłem się wpraw od nich.

Bronisław.

Winszuję panu powodzenia.

Zofia (poważnie).

Ślicznie! pięknie! Stroi się teraz pan brat w wyższą mądrość, a to nie mądrość, lecz prosta chciwość i wyszukane skąpstwo, które chwyta się dróg krętych i czyni ludzi nieszczęśliwymi.

Agapit.

Pocóż pani bratowa nie powierzyła mi swoich oczu pięknych? Byłbym może dziś innym człowiekiem, a tak, pieniądz mi najdroższy.

Bronisław (do Karoliny).

Słyszysz to pani? pojmujesz pani teraz, co to prawdziwe uczucie, jeżeli trwa do dziś dnia jeszcze? I jabym panią tak

kochał szalenie, jak pan Agapit dziś jeszcze kocha panią Zofię.

Karolina.

Albo tak, jak wuj kocha swoje złoto, z namiętnością, którą się brzydzą, jako i panem samym.

Bronisław.

Zemszczę się.

Karolina.

Nie zawiniłam, mścij się pan sam na sobie.

SCENA XIV.

Wanda — Karolina — Janina — Kleofas —
Tadeusz — Agapit — Zofia — Bronisław —
Honorata — Jacek.

Honorata (szamocąc się z Jackiem we drzwiach).

Ruszaj!

Jacek.

Tu niewolno! goście są teraz.

Honorata.

A cóż ty, błaznie, mnie zatrzymujesz?
Ja tu mam prawo! tu mój dom! jeno co?
mój dom! Zobaczymy! jeno co? jeno nie?

Agapit (zrywając się).

Zabroniłem pani tu wchodzić!

Honorata.

Mnie nikt zabronić dziś nie może!

Agapit.

Ja pani zabraniam!

Honorata.

Pani! poco pani? Jam twoja małżonka,
Agapitku, podług prawa. Możesz mi mówić:
„Honoratko“, Agapitku! (Głaszcząc go po twarzy)

Agapit (wstrząsa się).

Brr! brr! ruszaj mi ztąd!

Honorata.

Poco ruszać? Widzę tu kupę gości...
to krewniaki zeszli się na wesele. Tak też

być powinno. No, Agapitku, przyznaj się,
tyś chciał nas wszystkich objechać, ale my
się nie damy. Jeno co? jeno nie? Nie, to
ci tak na sucho nie ujdzie. Będzie wesele,
będą tańce! Jacek, leć zamów trąby! ru-
szaj zaraz! I my sobie wywiniemy, Agapitku,
tak, tak, wywiniemy. (Bierze Agapita wpół i wy-
kręca się z nim)

Agapit (broniąc się).

Przeklęta baba. Wyprowadź ją, Jacek.

Honorata (do Jacka).

Jeno mi się waź! Idź lepiej ugotować
porządny obiad na wesele.

Agapit.

Nie słuchaj jej.

Honorata (rozkazująco).

Słuchaj, bo ja tu pani! ja tu pani! Jeno
co? Ja, Honorata Budkowa, a teraz jaśnie
wielmożna pani Agapitowa Grzybicka, herbu
Jeleń! Jeno co? Leć, chłopcze, do mnie po
kalafiory, przynieś i jabłek i gruszek; grzyby
też tam są na półce. Ugotujesz nam zupę

grzybową, usmażysz kawał polędwicy wołowej, no, i zrobisz leguminę z jabłek. Zrozumiałeś dobrze, nicponiu? Jenó co?

Jacek.

No i co tu robić? Jeść się chce, aż ślina idzie do gęby. Bodaj polecę, ojej!

Agapit.

Ani mi się waź służyć tej kobiety.

Zofia (z wyrzutem).

Panie bracie, cóż to za burdy? to więcej, niż komedia.

Agapit (zawstydzony).

Zaraz ją rozwiążę, bo i mnie już tego zanadto. (Wyjmuje dwa rulony z fotelu)

Kleofas.

Doskonale schowanie, fraszka szafa żelazna. A, to ten fotel kulawy! poznaję.

Agapit (rzucając dwa rulony Honoracie).

Masz odczepne, natrętna kobieto, a teraz ruszaj ztąd, bo cię każę wyprowadzić przez policyę.

Honorata.

Jeno z policyą wara. Namysł się jeszcze, jam małżonka twoja prawa, Agapitku, jeno co?

Agapit.

To tylko ślub cywilny, nieważny wobec Pana Boga.

Kleofas.

Od kiedy jesteś tak pobożnym?

Agapit.

Nie prześladowaj mnie, dosyć mam kary. (Do Honoraty) Wzięłaś pieniądze, więc wychodź ztąd.

Honorata (ogląda rulony, czytając).

„Rzetelnie zwrócone, a ruszone jedynie z dobrego serca“.

Agapit.

Co to znaczy? Dawaj! (Bierze rulon) To Janinki ręka. (Zwraca pieniądze Honoracie)

Jacek.

Św. Jacku, broń mnie, broń mnie, ojej! (Chwyta się za głowę i chowa za Tadeusza)

Janina.

Tak, to moja ręka.

Agapit.

I tyś miała te pieniądze w ręku, Janino, i tyś je ruszała?

Honorata.

A to ci historyja! Jeno co? jeno nie?

Janina.

Opowiem, jak było: Otóż Jacek, widząc nasze przywiązanie z panem Tadeuszem i oplakane położenie, chciał nam dopomóć, więc przyniósł mi te pieniądze z ogromną radością, żeby ich użyć na wyprawę i posag.

Agapit.

A kanalia! gdzie on jest? Jacek! ty łotrze! (Chce go ukarać)

Jacek.

Ojej! ojej! św. Jacku dopomóż, broń mnie!

Tadeusz.

Nie pozwolę Jacka karać, bo działał w najszlachetniejszym zamiarze. Umierał z głodu, a fenyga nie ruszył, tylko wszystko przyniósł ukochanej swojej Janince, która go nieraz wybawiała od głodu. Panna Janina zaś kazała mu odnieść te pieniądze i schować w dawne miejsce.

Honorata.

I nie wzięła ich? Jabym tam zaraz wszystko capnęła.

Agapit.

Jeszcze wy tu, Budkowa? Wyjdźcie ztąd.

Honorata.

Nie ruszę się! poco? Dobrze mi tu z państwem gadać. (Siada na szezłagu) Jestem twoją małżonką, Agapitku. A i cała kompanija widzi mi się srodze.

Agapit.

Odczepne Budkowa dostała, jutro rozpocznie się proces.

Honorata.

A niech będzie i proces. Zobaczymy, kto wygra. Jeno co? Jeszcze, Agapitku, będziesz ze mną kalafiorki sprzedawał na rynku, a sad wydzierżawimy od pana burmistrza. Proces! ho! ho! namyślę się jeszcze. Prawa małżonka, Agapitku, jeno co? jeno nie? No, tymczasem padam do nóg państwu, bo zarobiłam tego na całej kompaniji.

SCENA XV.

*Wanda — Karolina — Janina — Kleofas —
Tadeusz — Agapit — Zofia — Broni-
sław — Jacek.*

Kleofas.

Ileż ty nam wszystkim narobiłeś wstydu, Agapicie! Cóż to za zły przykład dla tych par młodych! Co z nimi zresztą będzie?

Bronisław (zimno).

Zdaje się, że byłoby najlepiej dla obu stron, żeby uniknąć podobnego zgorznienia, które jest plamą dla rodziny...

Kleofas.

Milcz! ja nie pozwolę na dalsze wybryki. Dopełnij swoich przyrzeczeń względem uczciwej kobiety.

Wanda.

Zwalniam pana Bronisława z wszelką przyjemnością.

Bronisław (z ukłonem).

Więc żegnam. (Odchodzi głębia)

SCENA XVI.

*Wanda — Karolina — Janina — Kleofas —
Tadeusz — Agapit — Zofia — Jacek.*

Zofia.

Ciężką nam wyrządzasz krzywdę, bracie Agapicie. Widzisz, co się dzieje.

Kleofas.

Złe trzeba naprawić, dopomożemy im.

Agapit (z gniewem).

A daj, jeżeli chcesz i masz. Zobowiązany nie jestem, ożeniłem się wpierv od nich i basta.

Zofia.

I wyrzuciłem nadarmo swój krwawo zapracowany grosz i zbieram wstyd i hańbę. Znane rzeczy: „Skąpy chętniej traci, niż pomoże braci“.

Jacek.

A co będzie z Janinką i Tadeuszkiem? ojej! co to będzie?

Tadeusz (biorąc rękę Janiny).

Janinka i Tadeusz będą szczęśliwi i nie pragną już wcale tych groszy, któreby im błogosławieństwa Bożego nie przyniosły.

Jacek.

A ja? (Rzuca się do nóg Tadeuszowi i Janinie)
Ja będę u nich kuchcikiem, to przynajmniej nie zemrę z głodu.

(Zasłona spada)

KONIEC AKTU III I OSTATNIEGO.



63198

18. Dmuszewski. Szkoda wąsów. Kom-op. 1 a. 4 m., 2 k.
19. Godebski C. Miłostki ułańskie. Kom-op. 1 a. 4 m., 1 k.
20. Gregorowicz. Janek z pod Ojcowa. Obr. wiejski 1 a. 3 m., 3 k.
21. Dmuszewski. Okopy na Pradze. Kom-op. 1 a. 5 m., 2 k.
22. Kamiński. Szlachta czynszowa cz. Kłótnia o wiatr. Kom-op. 1 a. 4 m., 2 k.
23. Słowaczyński. Chłopiec studukatowy, czyli Zaklęta w kaczkę księżniczka na Ordynackiem. Fraszka 1 a. 8 m., 3 k.
24. Ładnowski. Zosia druha. Monodram 1 a. 1 k.
25. Sosnowski. Dożynki. Obr. 1 a. z tańcami. 7 m., 4 k.
26. Ładnowski. Wesele na Prądniku. Obr. lud. 2 odst. z tańcami. 8 m., 5 k.
27. Wieniarski. Ulicznik Warszawski. Krot. 1 a. z tańcami. 7 m., 3 k.
28. Kucz. Tajemnice Starego Miasta. Krot. 1 a. 4 m., 2 k.
29. Ziołek. Przybłęda. Obrazek z życia ludu ruskiego 2 a. 5 m., 3 k.
51. Szygeth. Stary piechur i syn jego huzar. Kr. 3 a. z tańcami. 10 m., 3 k.
52. Friedberg Dr. Prawica i lewica. Sztuka lud. 3 a. z tańcami. 10 m., 5 k.
53. Brodziński. Wiesław czyli Wesele Krakowskie. Opka. narod. z tańc. 1 a. 5 m., 5 k.
54. Clairville & Thiboust. Czula struna. Kom. 1 a. 2 m., 2 k.
55. Bobowski. Za nic żydowskie swaty. Kom. 1 a. z tańcami. 4 m., 4 k.
56. Domnik. Wigilia św. Andrzeja. Sztuka 1 a. z tańcami. 9 m., 8 k.
57. Błotnicki. Zagroda Sobkowa. Melodr. 5 a. 7 m., 5 k.
58. Gutowski. Surdut i siermiega. Obraz dram. 3 a. z tańcami. 11 m., 3 k.

- 127-1/2
27. E. Kern
63198
59. Karwatowa. Na naszej glebie. Obr. lud.
2 a. z tańcami. 6 m., 4 k., 2 mk.
70. Korzeniowski. Okrężne. Kom. 2 a. z tańcami. 7 m., 5 k.
71. Karwatowa. Kachna. Obrazek ludowy 3 a.
6 m., 3 k.
101. Kamiński. Skalmierzanki czyli Koniki Zwierzynieckie. Kom.-op. 3 a. 9 m., 7 k.
102. Galasiewicz. Czartowska Ława. Dram. lud.
4 a. 15 m., 9 k.
- } Pol. 50
} Po 4 m.

2. NARÓD SOBIE!

Tylko muzyka z podłożonym śpiewem, pięknymi rycinami tytułowymi o dwubarwnym druku.

II. Anczyc. Chłopi arystokraci. (Tekst w 1 a. 6 m., 3 k. 75 f) **50 fen.**

SCENA POLSKA!

1. Ewa Miaskowska. Obr. dram. z czasów oblężenia Trębawli 4 a. 11 m., 5 k. 50 fen.
 2. Pobratymiec. Pan Burmistrz z Wielkich Kozłowic. Krot! 2 a. 5 m., 2 k. 1 mk.
 3. Bobowski. Zaręczyny w plantacyach czyli Kłopoty starego Szpyrałskiego. Fr. scen. 2 odsł. 3 m., 4 k. 80 fen.
 4. Karwatowa. Stryj Agapit. Kom. 3 a. 5 m., 6 k. 1,60 mk.
- Anczyc. Emigracya chłopska. Obr. dram. 5 a. ze śpiew. 24 m., 6 k. 1,60 mk.
- Bykowski. Urodzenie. Dr. 3 a. ze śpiew. 6 m., 6 k. 1 mk.
- Chłop. Obr. dram. 3 a. 8 m., 2 k. 1 mk.
- Chociszewski. Komedye dla amatorów. (Wór pieniędzy w lesie. — Żyd się w szkło zamienił. — Sposób na gadatliwe kobiety. — Żyd przed sądem) 40 f. — Bartek w sieni piekielnej i w rajskim przedsionku. 6 m., 2 k. 30 fen.

